MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK VI. Nr 2 WARSZAWA, 9 STYCZNIA 1926 R. CENA NUMERU 80 gr.

PERSPEKTYWY POLITYCZNO-GOSPODARCZE

WARTO przyjrzeć się życiu stronnictw nie pod kątem widzenia ich aktualnych walk, zatargów, zgód i ugód, lecz z perspektywy dalszej, która pozwoli ogarnąć tendencje rozwojowe życia politycznego i na tle przeszłości umożliwi przewidywanie przyszłego układu sił partyjno-politycznych. Takie bardziej ogólne ujęcie przedmiotu jest o tyle możliwe, że w różnych krajach, nawet bardzo od siebie odmiennych, występują podobne zjawiska; nasuwa się wiele analogij, które mogą ułatwić zrozumienie i naszych stosunków, a nawet dostarczyć pewnych wskazań dla polityki praktycznej.

Jeśliby ktoś chciał dać najogólniejszą formułę, streszczającą istotę życia partyjno-politycznego, to mógłby je określić jako ciągłą walkę umiarkowania z radykalizmem, konserwatyzmu z „postępem". Określenie to jest bardzo grube i bardzo powierzchowne — nasuwa ono wiele wątpliwości, i niewiadomo, czy naprawdę cokolwiek wyjaśnia. Gdy jednak zwrócimy uwagę na jedną specjalną, choć bardzo ważną stronę życia politycznego, mianowicie na jego stosunek do zagadnień społeczno-gospodarczych, to możemy przeprowadzić bardziej konkretną klasyfikację: odróżnić stronnictwa, które główną swoją uwagę skupiają na produkcji, na powiększaniu bogactwa, jego nagromadzaniu, od stronnictw, które przedewszystkiem chcą zająć się rozdziałem tego bogactwa, przeprowadzić sprawiedliwsze jego ugrupowanie. Pierwsze stronnictwa mówią: najważniejszą rzeczą dla dobrobytu społecznego jest wzrost wytwórczości, oparcie jej na możliwie mocnych podstawach, są przeciwne ograniczeniom przedsiębiorczości, nadmiernej interwencji państwa, uciskowi kapitału, chcą dla gospodarstwa narodowego zdobywać nowe rynki, występują przeciw różnym reformom, które wstrząsają prawidłowym biegiem wymiany. Drugie zaś akcentują mocno krzywdy, tkwiące w dzisiejszym ustroju społecznym: walczą mniej lub bardziej stanowczo z przewagą kapitału, chcą w drodze przymusu przeprowadzić bardziej równomierny jego rozdział, względnie nawet zastąpić stopniowo indywidualny kapitał przez społeczną, czyli poprostu państwową produkcję. Od czasu, gdy zagadnienia gospodarcze nabrały większej wagi politycznej, możemy bardzo wyraźnie śledzić grę tych dwu sił; ich walkę, kolejną przewagę jednego lub drugiego pierwiastka, mniej lub więcej ostre zatargi i kompromisy.

Byłoby czemś zupełnie błędnem, gdyby się zgóry przyznało rację jednej albo drugiej grupie. Jednostronna troska o produkcję, przy zupełnem zlekceważeniu zagadnień rozdziału bogactwa, prowadzi do ogromnego napięcia wewnętrznych antagonizmów społecznych; a zaś radykalne naprawianie ustroju społecznego, bez myśli o warunkach i konieczności produkcji, prowadzi do zwiększenia nędzy. Wszystko ma swój czas. Przecież w pierwszej połowie XIX w. konserwatyści w Anglji przeprowadzili pierwsze reformy społeczne, ograniczające kapitał, i bynajmniej tego nie żałowali. A zaś trudno przypuścić, by znalazł się jakiś rozumny socjalista, któryby zaprzeczył temu, że przeprowadzone po wojnie w wielu krajach (Niemcy, Austrja) próby „socjalizacji" były conajmniej przedwczesne. Wszystko zależy od warunków czasu i miejsca, ale jedną zasadę ogólną można wypowiedzieć: w okresie wielkiego nagromadzania się bogactwa, rozkwitu kapitalizmu, mają rację usiłowania, które poprawiają rozdział bogactwa, które ograniczają kapitał; natomiast w okresie, gdy kapitał się zmniejsza, gdy nad wszystkiem górują trudności gospodarcze, trzeba myśleć więcej o zwiększeniu wytwórczości, niż o urzeczywistnieniu takiej lub innej sprawiedliwości społecznej. Mówiąc poprostu, wtedy można się zajmować z pożytkiem dzieleniem, gdy jest co dzielić; gdy jest tego mało, trzeba przedewszystkiem mnożyć.

W jakiej epoce my żyjemy? Wytworzyła się prawie we wszystkich krajach europejskich ogromna sprzecz-

ność między nadziejami, obietnicami, któremi żywiono w czasie wojny masy ludności, a rzeczywistem położeniem gospodarczem. Rozmaici Lloyd George'owie obiecywali tłumom raj na ziemi. Podnoszono w czasie wojny płace robocze, na drodze międzynarodowej przeprowadzono cały szereg reform społecznych. A tymczasem nie wszędzie wzrasta kapitał choćby tylko proporcjonalnie do wzrostu ludności, w wielu krajach jest nadmiar rąk roboczych, a zdobyć nowe rynki jest coraz trudniej. Powiedzmy sobie poprostu: gdy podsumujemy razem czynne i bierne pozycje bilansu gospodarczego Europy za ostatnie parę lat, rezultat ogólny wyrazi się deficytem. Europa się zadłuża, a swojej ludności nie jest w stanie wyżywić. I w tej chwili najważniejszą troską musi być troska o zwiększenie produkcji, o realne zatrudnienie wszystkich bezrobotnych, którzy zresztą emigrować za morze albo nie chcą (np. Anglicy), albo nie mogą (np. Polacy). Innemi słowy, trzeba przedewszystkiem walczyć ze zubożeniem, czyli brakiem kapitału. W tych warunkach dziejowych naturalnym biegiem rzeczy do władzy muszą dojść przedewszystkiem żywioły, które są zdolne zrujnowane gospodarstwo postawić na nogi.

Tymczasem jednak masy są niezadowolone. Dolega im ciężar podatków, brak pracy, zanik dobrobytu. Żywioły radykalne umieją wyzyskiwać to niezadowolenie, zdobywać sobie popularność przez daleko idące zapowiedzi zmiany i rychłej poprawy. To też w niektórych krajach te żywioły albo wprost dochodzą do władzy, albo wywierają stanowczy wpływ na politykę rządu. I oto mamy bardzo ciekawe zjawisko: niemoc lewicy w wybrnięciu z kłopotów gospodarczych i finansowych. We Francji kartel lewicy musiał się wyrzec zapowiadanego przez siebie obniżenia podatków pośrednich, wprowadzenia daniny od kapitału, rozszerzenia monopoli państwowych. Zrujnował franka i zrujnował swoich wielkich zbawców finansów, aż wreszcie trzeba było zaapelować do starego, bardzo umiarkowanego finansisty Doumera! W Belgji jest obecnie ministrem spraw zagranicznych ów wielki socjalista, Vandervelde. Niedawno oświadczył on w parlamencie belgijskim, że Belgja musi przeprowadzić daleko idące oszczedności, zmniejszyć wydatnie swój budżet, gdyż w przeciwnym razie nie otrzyma pożyczki w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej. Widowisko to godne bogów: ów Vandervelde, firmowy propagator kollektywizmu, prowadzi politykę pod dyktandem amerykańskich bankierów. W Niemczech socjaliści otrzymują przy wyborach wiele głosów, ale mają nieproporcjonalnie mało wpływu, zwłaszcza w dziedzinie polityki gospodarczej. W tym kraju, jak i w paru innych, stali się zwolennikami idei rządów koalicyjnych, którą nie tak dawno bezwzględnie odrzucali, co niewątpliwie jest wyrazem przekonania, że programu socjalistycznego obecnie nieda się urzeczywistnić.

Mamy coprawda i inne paradoksy. Np. w W. Brytanji rząd konserwatywny wstąpił na drogę dopłat państwowych dla kopalń węgla, by w ten sposób zażegnać bezrobocie. Zresztą stosunki w różnych krajach są rozmaite, niepodobna jest snuć bardzo szczegółowych przewidywań. Ale jedno jest pewne. W obecnej dobie życia gospodarczego Europy nad wszystkiem górować będą zagadnienia produkcji, a nie zanosi się na wielkie reformy społeczne.

Nie znaczy to, że nie będzie żadnych wstrząśnień społecznych, że życie polityczne będzie się wszędzie zasadzało na planowej pracy nad odbudową kapitału. Przeciwnie, wzrastające bezrobocie, zamykanie fabryk, są to objawy bardzo groźne. Może przyjść w niejednym kraju do wielkich kryzysów społecznych. Z tego jednak nie może się narodzić nowy ustrój społeczny. Mogą być rozruchy, ale nie ma widoków polityka przewrotu. Rewolucji nie są w stanie dokonać głodne masy, o ile nie dokona jej doktrynerstwo i słabość tak zw. „warstw rządzących“. Demagogja radykalna może święcić chwilowe triumfy. Może dojść do władzy — ale w dzisiejszych warunkach bardzo rychło tę władzę musi porzucić, gdyż zbyt wielkie jest przeciwieństwo między tem, co ona obiecuje, a faktycznemi możliwościami.

Te wszystkie rzeczy szczególnie u nas są bardzo widoczne. Jesteśmy od innych biedniejsi. Bardziej, niż inni, zrujnowani przez wojnę i przez inflację. A równocześnie bardziej, niż innych, zalała nas fala radykalizmu społecznego, w ciągu kilku lat osiągnęliśmy tyle „zdobyczy socjalnych“, jak żadne inne państwo w ciągu długiego swojego istnienia. Ale teraz przyszedł czas na zdobycze gospodarcze, dla których trzeba będzie poświęcić niejedną zdobycz socjalną. Ratunkiem dla naszego proletarjatu jest upowszechnienie się w społeczeństwie bardzo pospolitych cnót burżuazyjnych: oszczędności, wytrwałości w pracy, nawet groszoróbstwa. Państwo wzmoże się na siłach, gdy, wbrew doktrynie, wyrzeknie się niejednego zadania, które niebacznie wzięło na swoje barki. Byt robotnika się poprawi, gdy więcej w Polsce będzie kapitalistów. I Polska wtedy tylko wybrnie z swoich ogromnych trudności, gdy jej polityka będzie oparta na uwzględnieniu konieczności gospodarczych, gdy wzmożenie gospodarstwa narodowego będzie jednem z jej głównych zadań. Wzmożenie tego gospodarstwa, a nie nowy ustrój społeczny — o tem trzeba pamiętać.

Położenie Polski jest może gorsze w tej chwili, niż wielu innych krajów, ale Polska w dalszej perspektywie ma zadanie łatwiejsze. Ma większą, niż inne kraje, równowagę wewnętrzną, a mniej jest wplątana w gospodarstwo światowe, które przechodzi obecnie straszliwy kryzys. Może łatwo wybrnąć z obecnych trudności, jeżeli naprawdę zechce z nich wybrnąć. By jednak mieć tę wolę, trzeba mieć świadomość, że przyszedł obecnie czas na tych, którzy rozumieją, czem jest polityka gospodarcza narodu. Którzy wiedzą, że obecnie trzeba przedewszystkiem wytwarzać i mnożyć, a nie „reformować“ i dzielić.

ROMAN RYBARSKI

ROZWÓJ KULTURY A PRZESZŁOŚĆ I NARODOWOŚĆ

PRAWO ciągłości panuje zarówno w objektywnym rozwoju kultury, jak i w ewolucji typu człowieka. Opiera się ono na ogromnej potędze przeszłości, która stwarza przyszłość i nią kieruje, nie tylko przez to, iż rozstrzyga o warunkach życia teraźniejszego, ale i dzięki temu, iż kształtując i wytwarzając określony typ psychiczny ludzi, narzuca im określony wobec tych warunków sposób postępowania.

Jeśli o pierwszą sprawę chodzi, to cały szereg studjów historycznych i socjologicznych nad rozwojem religji, języka, obyczajów, życia politycznego, nauki, techniki i t. d. wykazuje, jaki zasadniczy udział posiada w tym rozwoju gromadzone doświadczenie wieków. Nie dziwne a utajone władze, siły człowieka—jak to przyjmował dawny racjonalizm—stwarzają kulturę i kierują nią, jak potrzeba, czy jak się chcę. Rozwój kultury — to proces historyczny; każdy krok dalej możliwy jest tylko dzięki przygotowaniu, jakie dała przeszłość.

Ale podobnie, jak z rozwojem dóbr kulturalnych, ma się rzecz i z ewolucją typu ludzi. Nie myśmy wymyślili język, którego nas uczą i którym mówić będziemy; nie myśmy stworzyli religję, która się stanie naszą, nie braliśmy udziału w kształtowaniu tych stosunków społeczno - gospodarczych, w jakich żyć i pracować będziemy; nie myśmy zdobyli te prawdy, które w nas nauczycielowie wpajają; poglądy nasze nie z nas płyną, ale z tego, cośmy od poprzedników przejęli i skorzystali. Mówiąc ogólnie, sposób naszego patrzenia na życie, nasz typ psychiczny, zależy od warunków, w których znaleźliśmy się, a które nie my stworzyliśmy — ale całe pokolenia.

Z faktu historyczności struktury świata, w którym żyjemy, wypływa jego ważna niezmiernie cecha: charakter deterministyczny. Nie w tem znaczeniu, iżby wola ludzka nie miała tu nic do roboty, lecz w tem, iż kierunek pracy człowieka jest określony. I tak, żadna siła ludzka nie sprawi dziś, aby wróciły stosunki prawne, jakie istniały np. w starożytnej Grecji, podobnie, jak żaden wysiłek wówczas nie mógłby osiągnąć przetworzenia Grecji na państwo dzisiejsze. Nie możemy dziś wrócić do stanu nauki, jaki istniał w średniowieczu, jak ono nie mogłoby jednym skokiem znaleźć się tu, gdzie my jesteśmy. Nie powiedzie się żadna próba zastąpienia moralności chrześcijańskiej, w której od wieków żyjemy np. moralnością ludów dzikich; religji naszej — religją jakąś dawną, czy też wymyśloną.

Podobnie z typami ludzi: żadne starania nie pomogą, by wskrzesić do życia starożytnego Greka; lub też, aby zrealizować idealną jakąś wizję, wylęgłą w głowie marzyciela. Nikt nie może też napewno przewidzieć, co z tego, co dla nas jest oczywistem, naturalnem, „samo przez się“ zrozumiałem, będzie w przyszłości odrzucone, wyśmiane i potępione, (badanie ewolucji tego, co każda epoka uważa za naturalne, „samo przez się“ zrozumiałe, jest niezmieznie pouczające; Niemcy nazywają to „*Selbstverständlichkeiten*“ i z tą pomocą charakteryzują epoki). Na typ ludzi, jaki dziś panuje, składała się długa ewolucja, a po swej drodze wytkniętej — musimy iść i idziemy od dziecka.

Ów determinizm częściowy, o którym mowa, to wyniesienie rozwoju dóbr kulturalnych i typu ludzkiego, ponad dowolne żądania i pragnienia pewnych grup ludzi, jest wielkim dobrodziejstwem. Gdyby było inaczej, gdyby życiem nie kierowała przeszłość, wówczas każde pokolenie — czy każdy człowiek nawet — szedłby tam, gdzieby zechciał, burząc wciąż i rozpoczynając na nowo; z takiego chaosu poczynań i dowolności nigdy nie powstałby zwarty i wzrastający świat kultury. Jest on możliwy, dzięki temu tylko, iż opiera się na gromadzonem doświadczeniu wieków, iż rozwija się i posuwa po jednej drodze.

Tę drogę poznać i iść po niej jaknajbardziej twórczo — oto najskuteczniejsza praca nad rozwojem kultury. Wszelkie niezgodne z tą drogą próby czy eksperymenty sieją zamęt bezcelowy i opóźniają postęp. Realizacja wymyślonej a pozbawionej podstaw w życiu utopji, jest dlatego właśnie szkodliwa. Takich prób widzieliśmy w ostatnich czasach sporo. I dlatego pilniej, niż kiedykolwiek, brać się dziś należy do pracy, aby poznać drogi rozwojowe dziejów, oddzielić te, które są istotnie przez dotychczasowy bieg historji zarysowane, od tych, o których mówią teoretycy i marzyciele.

*

Z różnych tendencyj rozwojowych, jakie się w naszej kulturze przejawiają, pragnę omówić tylko jedną. Jest faktem niewątpliwym, iż dobra kulturalne istniejące noszą na sobie piętno narodowościowe — a typ ludzi właściwy naszej epoce, zawiera silny współczynnik narodowościowy. To fakt. który stwierdzamy tysiącem obserwacyj i dowodów. Jedynie zaś racjonalną i korzystną dla dalszego rozwoju kultury drogą jest uznanie istniejącego stanu rzeczy i wytrwała praca w tym kierunku, jaki jest zarysowany. Więc nie trwożliwa obawa wyciśnięcia piętna narodowościowego na wytworach kultury, nie rzekomo humanitarne niwelowanie cech typu narodowego, lecz wprost przeciwnie, dążenie do wzrostu kultury i typu człowieka, na podstawach narodowościowych, winno być hasłem i wskazaniem. To jest droga postępu, tamta — niemożliwego powrotu do tego, co było.

Jak iść tą drogą?

Ponieważ typ narodowy, o którego rozwój chodzi, jest wytworem historji, przeto przy odpowiedzi na powyższe pytanie, trzeba nasamprzód zastanowić się nad stosunkiem żyjącego pokolenia narodu do własnej przeszłości. Związek z przeszłością musi być bowiem tak luźny, aby nie przeszkadzał w rozwiązywaniu zadań nowych, jakie nas czekają, ale jednocześnie tak silny, aby wśród tych nowych, przeszłości nieznanych prac, nie zatraciła się ciągłość życia narodowego, której utrzymanie jest nakazem pierwszym i najważniejszym.

Polska należała do tych narodów, dla któryeh kult przeszłości był potrzebą serca zawsze, a warunkiem życia często. Ogólny obraz historyczny rozwoju tego kultu u nas od XVI wieku po czasy najnowsze, próbuję nakreślić na innem miejscu*); tu daję tylko parę uwag ogólnych — wskazuję na niektóre formy, jakie to zjawisko przybierało.

Warunkiem koniecznym wielbienia przeszłości jest spostrzeganie w niej jakichś wartości. To zaś stwierdzanie wartości dokonywa się albo dzięki niezależnej, samodzielnej, krytycznej ocenie, albo też — i to jest przypadek ciekawy — wprost przeciwnie: za dobre uważa się wszystko, co stwarzali przodkowie. Tak sądziła szlachta XVII i XVIII w., apoteozując bezkrytycznie każdy czyn, każdy twór przodków; tak w XIX w. apoteozował Polskę mesjanizm, zarówno jak i literatura w kraju. W takich przypadkach żyjący nie wydają trzeźwego sądu o przeszłości; w ich sercach żyje apoteoza i uwielbienie i one wywołują sądy dodatnie — a nie odwrotnie: nie z ocen płynie miłość.

Różne mogą być przyczyny takiego stanu rzeczy, więc albo — jak było w XVI i XVII w. — zawdzięcza się przodkom coś niewątpliwie dobrego, a potem (zgodnie ze znanem w psychologji prawem irradjacji uczuć)

---

*) Przegląd Wszechpolski.

uważa się wszystko, co przodkowie stworzyli, za dobre i wielbi coraz żywiej, przez co się znowu silniej jeszcze z nimi wiąże uczuciowo i każda próba krytycznej oceny wywołuje odruch oburzenia i zgrozy (ataki na reformatorów w II połowie XVIII wieku). Albo też potrzebna jest otucha i pokrzepienie, więc się zwraca ku czasom dawnym, a lepszym, i wspomnieniem dni chwały krzepi w dniach klęski. Tak było często w XVIII, a jeszcze częściej w XIX wieku, wspomnienie Polski potężnej i niepodległej dodawało siły, a stąd i ocena owych czasów szczęśliwych była często bezkrytycznie dodatnia. Gdy próbowano innej — odzywały się głosy potępienia (atak na historyczną szkołę krakowską). Albo też, gdy żyjącym grozi niebezpieczeństwo wynarodowienia, zwracają się chętnie do czasów dawnych, dawnych pamiątek, aby utrwalić w sobie odporną siłę narodową. I wówczas z takiej potrzeby płyną już wprost oceny dodatnie narodowej przeszłości. Albo też w czasach wielkich klęsk, gdy żyjący tracą możność panowania nad biegiem wydarzeń, gdy zawodzą rachuby i przewidywania, wówczas zwracają się do przeszłości nietylko po otuchę, ale wprost po radę, po wskazówki postępowania. Tak było we Francji porewolucyjnej wśród tradycjonalistów, którzy swój program polityczny budowali na podstawie *ancien regime'u*; cóż dziwnego, iż każdy sąd ujemny o czasach dawnych uważali za bluźnierstwo. One były przecież jedyną ostoją!

Różne więc mogą być przyczyny, skłaniające do wydawania dobrych ocen przeszłości. Wspólną ich cechą było jednak — jak widzieliśmy — to, iż żyjący wiązali się uczuciowo z przeszłością przez poznawanie i wielbienie czynów i wytworów przodków.

Jakiego jednak stosunku do przeszłości wymagają czasy, w których żyjemy? Sposoby odnoszenia się takie, jakieśmy wyżej poznali, nie mogą już dziś być trwale pożyteczne. Noszą one w sobie różnorakie braki i nieporozumienia. Więc przedewszystkiem wielbienie czynności i wytworów przodków prowadzi zbyt łatwo do przekonania, iż skoro to wszystko, co dawniej było, jest tak dobre, to wszystko, co nowe i czego dawniej nie bywało, jest złe i szkodliwe. Taki wniosek wyciągnęła z kultu przeszłości szlachta XVII i XVIII w. Takie zapatrzenie się w przeszłość może też powodować oderwanie od życia, które tak ostro i słusznie potępiał Wyspiański.

Dziś przed nami stoją zadania pierwszorzędnej wagi, ale zadania często zupełnie nowe: przeszłość nasza nie znała ich, nie znajdziemy w niej przykładów ich rozwiązywania. A uchylić się od ich rozwiązania nie można. W pracy tej musi wziąć udział cały naród, — a tymczasem zachodzi obawa, iż to skromne wykształcenie historyczne, jakie niektóre warstwy posiadają, nie będzie dość silną więzią. Zachodzi paląca potrzeba zbudowania takiego związku z przeszłością, któryby—zapewniając ciągłość i broniąc przed zanikiem typu narodowego — pozwalał jednocześnie wszystkim na udział samodzielny w rozwiązywaniu zagadnień, jakie rozwijające się życie i otoczenie narzuca.

Tą inną drogę — inną, niż tylko pamiętanie o dawnych czasach, wielbienie dawnych ludzi i ich czynów — może być jedynie: poznanie, zrozumienie i określenie, czem jest i czem się od innych ludzi różni typ Polaka, i wpajanie jego istotnych cech w młodzież w ten sposób, by się stawała tego typu najlepszem wcieleniem. Wówczas bez obawy zerwania ciągłości życia narodowego staniemy wobec każdego nowego zadania, i nie odrzucimy z lękiem rzeczy obcych i nowych, ale biorąc, weźmiemy je własnemi rękoma, będziemy reagować na wszystko w sposób swoisty. A jednocześnie do pracy mogą być na tej podstawie powołani wszyscy, bo wszystkich można i trzeba wychowywać. Pozostaje tylko jeszcze pytanie: kto i jak ustali, czem jest i jakim jest typ Polaka? Czy się będzie próbowało dokonać tego na podstawie wewnętrznej introspekcji (Kochanowski) — czy też określi, jako wynik jakichś teleologicznych rozważań i pragnień? Sądzę, że jedynie owocną drogą jest podjęcie pracy naukowej nad tem zagadnieniem. Nauki humanistyczne, których przedmiotem są rzeczy polskie, winny wyraźnie stwierdzić, iż każda z nich pragnie dawać przyczynki do charakterystyki typu Polaka. Niech historyk dziejów politycznych dostrzega poza systemami politycznemi i ich zależnościami, również i oblicze polityka polskiego; niech historyk ustroju—poza formami prawnemi,— dojrzy człowieka, żyjącego wśród takich właśnie praw; historyk dziejów gospodarczych — poza ewolucją gospodarstwa—niech pomyśli także o zmianach w typie Polaka gospodarującego; historyk literatury—poza talentami literakiemi,—powiniem dostrzec typ Polaka-artysty, a badacz języka polskiego, niech śmiało się zastanowi nad psychiką polską, jak się ona w językowych faktach przejawia. To wszystko można zrobić, jeno trzeba pamiętać, że istotnym przedmiotem nauk humanistycznych jest człowiek właśnie, pełny i żywy, a nie systemy jego wytworów! Jeno trzeba i specjalnej umiejętności, którаby te wnioski poszczególnych nauk w jedną syntezę musiała połączyć.

To wszystko zrobić można, a jeśli nauki humanistyczne chcą zadość uczynić temu zaiste wielkiemu powołaniu, prowadzenia życia — to zrobić muszą!

BOGDAN SUCHODOLSKI

TRZY MURY GRANICZNE W „ZEMŚCIE“ FREDRY

(Fragment większej całości p. n. „Polska w komedjach Fredry“)

II

Z AUTENTYCZNYCH dziejów pieniackich Firleja i Skotnickiego zostawia Fredro w „Zemście“ niezmienioną anegdotę. To samo, co w Odrzykoniu, wspólnictwo władania, tak samo zamek, o czem w „Zemście“ mowa. Te same sąsiedzkie zatargi. Z mnogości spraw spornych Firleja ze Skotnickim zużywa komedja przedewszystkiem sprawę muru granicznego. Z zaciekłości Cześnika na Rejenta i *vice versa* — wyczuwamy w peryferjach akcji nie jedną sprawę, zatarg i proces, ale wszystkie one na razie, na czas komedji, koncentrują się w murze granicznym. Tym to murem, jak klamrą, kończy się odsłona pierwsza, gdy *Cześnik* na pół przytomny wpada na scenę:

> Cóż u czarta! ty spokojny
> Kiedy Rejent mnie napada
> I otwartej żąda wojny?!

Napaść, wojna... Cóż się stało?

> Mur naprawia!!!
> Mur graniczny! trzech murarzy!
> On rozkazał — on się waży!
> Mur graniczny!

Napaść, wojna, mur graniczny...—„On się waży“!

Nie więcej nad kilka słów, a jakby kto magiczną różdżką wyczarował starą Polskę szlachecką...Gwałty, zajazdy, napady, obrony. — „On się waży!"—to zwłaszcza idealnie dobrane słówko... Jakże szlachcic ma pojąć to, by ktokolwiek, okrom Boga, na coś się mógł przeciw niemu ważyć?

Trzech na murze!
Trzech wybiję, a mur zburzę!
Zburzę, zniszczę, aż do ziemi...

Może tylko przeoczyłem to w dotychczasowych studjach nad „Zemstą", ale wydaje mi się, że nie było ani razu poruszane zagadnienie: jaka była szlachecka logika Rejenta w próbie naprawiania muru granicznego, a jakie miał znowu uzasadnienie Cześnik, tak namiętnie sprzeciwiający się naprawie?

Wyjaśnienia moje może będą mylne, ale mniemam, że bez poruszenia tej sprawy, wymyka się nam jeden kolorek z wielotęczy psychologicznej obu w „Zemście" antagonistów.

W scenie VII-ej, kiedy nad nieszczęsnym murem spotykają się po raz pierwszy w komedji obaj przeciwnicy, następująca toczy się rozmowa między Rejentem, Cześnikiem i Śmigalskim:

Rejent:.... Stójcie Co to znaczy?
Smigalski Cześnik, pan mój, kazać raczy
Aby muru nie kończono...
Cześnik Tak jest: każę, bo mam *prawo*.

Oto pada nieuniknione w szlacheckiem zajściu słówko: prawo. Wszystkie zajazdy, gwałty, bezprawia miały w fundamencie spór o czyjeś prawo do czegoś. Jakież mogły być istotne czy urojone prawne powody Cześnika, że może—byle on!—może nawet zburzyć mur, z ziemią go zrównać, a nie pozwoli Rejentowi muru naprawiać? Takie same, jakie czają się i dziś w każdym np. parkanie, oddzielającym ogród Pawła od ogrodu Gawła. Parkan ten musi być czyjąś własnością, albo Pawłową albo Gawłową i ma prawo być, na żądanie, wniesionym do odnośnej hypoteki. W „Zemście" tak się rzecz dzieje, że przy nabywaniu jednej połowy zamku od poprzedniego tej połowy właściciela zapomniano mur „zapisać do własności" i mur stał się przedmiotem sporu. I Cześnik sobie doń rości prawo własności — i Rejent. Z biegiem lat w murze robi się wyłom. W głowie Rejenta, starego wygi sądowego, powstaje genjalna idea: cichaczem, pokryjomu sprowadzi mularzy, naprawi na swój koszt mur i będzie miał upragniony, wymarzony precedens: skoro naprawiałem mur, to tem samem mur musiał być moją własnością. Sto lat po sądach można jechać na takim precedensiku. Ale Cześnik, acz nie jurysta, kilka stuleci pieniactwa szlacheckiego ma we krwi i bez udziału komórek mózgowych, samą skórą czuje, gdzie i w czem być może kruczek prawniczy. Wysyła więc służbę, przepędza mularzy, turbuje ich. Precedens: skorom do krwi bronił muru, to Prześwietny Sądzie dowód *ad oculos*, że mur mój — tak będzie mógł Cześnik zacząć swoją orację w grodztwie. Czwarte po nim pokolenie pojedzie jeszcze na tym argumencie. Jota w jotę tak samo być musiało między Firlejem, a Skotnickim: o mur, czy studnię walono wzajem łbami o ścianę, nie bez ważnego celu: dla uzyskania precedensu.

— „Jak kupiono mur graniczny, tak zostanie!"—puszcza Cześnik złośliwość w kierunku Rejenta.—„Jak kupiono", ale przedewszystkiem udowodnij bratku, żeś kupił. A udowodnić nie możesz, dlatego idziesz na precedensy.

O ile wierną anegdocie i faktom jest ta strona „Zemsty", o tyle Fredro odstępuje o nich w doborze figur. Cześnik i Rejent to nie analogiczna para Firlejowi i Skotnickiemu.

Firlej i Skotnicki to dwie postaci klasowo i majątkowo sobie równe. Jeden i drugi—pan z panów. Może już nieco poderwani na fortunach w porównaniu ze swoimi przodkami, ale obaj, jeden i drugi, pomni splendorów rodowych. W pierwszej połowie wieku XVII-go dość było powiedzieć: Firlej—a wstawała pamięć: protoplasty zaszczytów rodowych Mikołaja, który z Bajazetem pokój zawierał, a jako hetman Wielki Koronny nad Prusami *victorię* odniósł, dalej Jana Firleja, marszałka W. K., wojewody, co w imieniu Zygmunta Augusta hołd od Wołoszy odbierał, a Walezemu był rywalem do korony; Henryka Firleja, prymasa; Jana, podskarbiego, co dobra swoje zastawił, by wojsko miało żołd wypłacony. — Skotniccy tak wysoko się nie wybijali, ale zawszeć ród senatorski i o wiele od Firlejów starszy znowu, dość były w Polsce powiedzieć: „pan ze Skotnik" a stawała ze średniowiecza pamięć Jarosława Bogorji ze Skotnik, który, jako arcybiskup gnieźnieński, czasu chaosu we władzy cywilnej—istnym królem był nad Wielkopolską. Zatarg Skotnickiego z Firlejem — to konflikt dwóch stanowych identyczności.

Instynktem prawego komedjopisarza wiedziony, Fredro w „Zemście" zmienia tę identyczność na kontrast. Cześnik i Rejent, choć obaj szlachcice, równi sobie *de iure*—stanowią idealny przykład przeciwieństwa stanowego: pan z panów i szarak.

Trudno sobie większą wyobrazić przepaść nad tę, jaka w dawnej Polsce dzieliła magnaterję od gminu szlacheckiego. Ci i tamci jednakowymi przywilejami konstytucji objęci, a jednak czemże mógł być jednowioskowy szlachcic wobec takich Sieniawskich, Zborowskich, Firlejów, Sapiehów, Radziwiłłów? Niema dziś w Polsce tak wielkiej fabryki, którejby właściciel o tyle był od swego robotnika bogatszy, ile magnat starej Polski był możniejszy od swego „sąsiada", zwyczajnego szlachcica. Gdy w XIX już wieku likwidowano rodowe majątki Paców na Litwie, to jednym tylko z kilkunastu kluczów rodowych, Jeznem, podzieliło się 900 (dziewięćset) rodzin szlacheckich i każda z nich miała z czego iść w górę.

Warstwa magnaterji nie z samych jednak bogaczów składała się. Od cenzusu majątkowego ważniejszą legitymacją warstwową była *magna charta* koligacyjna. Dla możnowładców polskich świat dzielił się na tych, za których ostatecznie może zamąż wyjść bez skandalu Szafrańcówna, Korecka, Górczanka, Stadnicka, Sanguszkówna etc. i na tych, którzy o związku podobnym śnić nie mogli. Sensacja, jaką trzydzieści lat temu wywołał marjaż „obywatelskiego syna" Włodzimierza Tetmajera z córką włościanina, niczem jest wobec hałasu, jakiby powstał w Polsce starodawnej na wieść, że Potocka wychodzi, no choćby za Tetmajera...

Na takich zasadach posiadania i tradycji, co w pojęciach ówczesnych ujmowano wspólnem słowem: *krew*—na takich zasadach uformowana warstwa możnowładcza, bezlikiem pokrewieństw i powinowactw splątana, tożsamością interesów solidarna, jedną wspólną ambicją objęta—czuła się osobnym narodem w narodzie szlacheckim, zazdrośnie dla siebie strzegła prawa faktycznego do buław, pieczęci, senatorskich stolców, infuł i beneficyj—zaszczytami i godnościami znowu pomnażając stan swój materjalny. Reszta szlachty była wobec nich tem, czem dziś chłopi wobec „obszarników" i szlachta ta w oczy wobec nich pokorna, była albo służbą na ich dworach, albo niezależna, pałała taką samą ku magnatom niechęcią, jak dziś chłopi ku dworom.

Od czasu do czasu znajdowała też w dziejach swojego szlacheckiego Witosa, np. w osobie Jana Zamojskiego.

Takie same, jak w majątku—i w kulturze różnice. Sto czy dwieście rodzin magnackich w Polsce reprezentowały godnie najwyższy lot poloru europejskiego. Pałace, stawiane przez mistrzów włoskich, przepych, urządzenia, dzieła sztuki, kapele; za Renesansu własne drukarnie, za rococa własne teatry, księgozbiory, obycie światowe, koneksje ze światłem Zachodu. Te sto świateł tkwiły na przestrzeni cywilizacyjnie zaciemnionej, nasadzonej dworami szlachty,

w większości swej tyle rozwiniętej, co dziś—znowu—włościanin oświecony, inteligentniejszy prenumerator „Piasta“ czy „Zorzy“.

Z wieku na wiek, przyrostem dzieci, podziałem ziemi, mnożyła się szlachecka biedota, aż w formacji panów na kilku dymach, dzierżawców, szlachcie zagonowej, szlachcie *cum scartabellatu* etc.—dochodziła do tej klasy socjalnej, która na Zachodzie wypowiedziała się mieszczaństwem: stan pośredni między ludem a szlachtą na jednej, dwu wsiach. I jak tam na Zachodzie z mieszczaństwa, tak u nas z naszego herbowego *tiers état* wyrastała warstwa bezziemnej inteligencji: niższa palestra, „towarzysze“ w wojsku, duchowieństwo świeckie i zakonne.

Cześnik—to zubożały reprezentant magnaterji, Rejent to już *tiers état* z pochodzenia, przez wzbogacenie się doszły do posiadania wsi.

„Pozna szlachcic po festynie, jak się *panu* w kaszę dmucha!“—odgraża się Cześnik Rejentowi. Słowo—„szlachcic“—użyte wprost pogardliwie. I ta pogardliwość ileż perspektyw otwiera na istotę struktury socjalnej w dawnej Polsce! Dla wyborczych celów kołatał się odwieczny frazes:—„szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie“. Ale niechby szlachcic po wyborach próbował eskontować tę swoją rzekomą równość!

I nic to, że Cześnik już dzisiaj sam jakby nic nie posiada. Ściśle mówiąc, siedzi, *qua* opiekun, u synowicy w jej domu. Nic to. Kilka zaznaczeń tekstu w „Zemście“ ustala nam jego stanowisko na drabinie wartości szlacheckich: jego rodzony brat był starostą. Byle kto starostą nie bywał. Zechce się Cześnikowi pojechać czy to do Brzeżan, czy do Krasiczyna, a przyjmą go i nie przy drugim stole posadzą. Cześnik już schodzi w dół, ale jeszcze nie zeszedł. Jeszcze się czuje w klanie. Niechby Rejent spróbował zajechać do Dzikowa czy Łańcuta; oczywiście, że by go nie wyproszono, ale obiad jadłby z — „klientami“.

Rejent, jak już tytuł wskazuje, musi być z pochodzenia szlachetką. I Cześnik nie największa godność, ale godność, rejent zaś to właściwie nie godność, to tylko nazwa zajęcia i to zajęcia płatnego. Rejent, czy regent, to zarządzający kancelarją sądu grodzkiego. Szlachcic, choćby tylko na jednej wsi siedzący, nie dałby syna na regenta. Ze szlachty zagonowej, z dzierżawców, z pańskich podstarościch rekrutowali się vicesgerenci, regenci, pokątni doradcy, skryby etc. Nasz Milczek dorobił się na regenturze. Dorobił się grubo. I oto się trafiło, że do nabycia jest połowa zamku Raptusiewiczów, kupuje ją bez wysiłku, bo z tekstu komedji wynika, że Rejent ma jeszcze rezerwę w kapitałach: w intercyzę ślubną swego syna wstawia klauzulę, że w razie niedotrzymania obietnicy małżeństwa wypłaci stronie przeciwnej sto tysięcy.

Rejent ma wieś, rezyduje na zamku, ma kapitały,—nic mu to nie pomoże. Może być nawet bogatszym od Cześnika, może jeden i ten sam herb z nim nosić — nic nie pomoże: — odwieczna tradycja podziału szlacheckiego, „krew“, wznosi między nimi stanowczy mur graniczny. Ten stanowy mur stokroć bardziej od fizycznego muru granicznego ich oddziela. I jak tamten fizyczny, widomy mur, stanowi punkt wyjścia dla konfliktu akcji, tak ów niewidzialny klasowy mur graniczny daje zabarwienie psychologicznym w „Zemście“ pogłębieniom sporu.

ADAM GRZYMAŁA-SIEDLECKI

MOTYW PRZYRODY W POEZJI ANGIELSKIEJ

(Ze szczególnem uwzględnieniem Byrona)

I.

MAM zamiar przypomnieć jeden z zasadniczych motywów poezji romantycznej, stosunek twórcy do Przyrody i to tak, jak stosunek ten ze swemi skojarzeniami uczuciowemi i myślowemi objawił się przedewszystkiem u jednego z największych romantyki tej twórców, u Byrona.

Prawda aktualność wojny dzisiejszej,*) która wszelkie inne, choćby i wieczyste aktualności na dalekie spycha plany, albo je całkiem dla oczu naszych zmiata z powierzchni, może zadrwi sobie z mego zamiaru; uczucie nasze, obracające się w tej wiekopomnej chwili dziejowej wyłącznie około tragicznych pytań, związanych z smutnem dziś i z niewiadomo jeszcze jakiem jutrem narodowego bytu, może wzruszać ramionami, może się dziwić, że w zakres rozważań na tem miejscu wciągam postać twórcy obcego, nie swojskiego. Atoli nazwisko Byrona, choć obce, splotło się na wieki wieków z dziełem tych, których z dumą nazywamy swoimi, a którzy naszego bytu narodowego, jego dziś i jego jutra najżywotniejszą, niezniszczalną są podporą, albowiem wielka twórczość ich jest najdobitniejszym dokumentem naszej żywotności.

Iżby jednak dokładniej zrozumieć ducha poezji wielkiego romantyka angielskiego, a z nim i poezji nowożytnej wogóle, o ile idzie o wyraz, jaki znalazła w niej przyroda, trzeba sobie, choćby w najogólniejszych zarysach uprzytomnić rozwój tego stosunku, rozwój, oplatający się—w Anglji—około kilku imion znamienitych, a w zaczątkach sięgający jeszcze wieku czternastego. Należy więc wymienić przedewszystkiem nazwisko Godfryda Chaucera, właściwego twórcy romansu angielskiego, pisarza, którego wpływy aż po nasze sięgają czasy, jak tego dowodem znani zapewne wszystkiem Longfellow i William Morris i mniej może znany dzisiejszy poeta angielski Maurycy Hevlette.

Chaucer, twórca „Opowieści kanterberyjskich“,**) genjalny malarz swego wieku, odznaczył się nietylko barwnem i ogromnie plastycznem odtworzeniem przejawów ówczesnego życia, okazał on niemal nowożytne, dzisiejsze zrozumienie Przyrody. W jego „Parlamencie ptaków“ (*Parliament of Foules*) utworze okolicznościowym, napisanym na cześć krola Ryszarda i żony jego, czeskiej księżniczki Anny, roi się wprawdzie od pojęć klasycznych, od allegoryj z dziedziny mitologji, od przypomnień dziejowych, wziętych ze świata starożytnego, jednakże z chwilą, kiedy jedna z postaci tego utworu, Scipio, wprowadza poetę do wspaniałego ogrodu, cała uwaga jego skupia się około Przyrody, bujną otoczonej roślinnością, gospodarującej śród zakochanego ptactwa. I tutaj daje nam Chaucer obraz raju ziemskiego, przypominający w szczegółach krajobrazy przeciwnika Byrona, Wiljama Wordswortha: „Ujrzałem,—powiada,—ogród, śród zielonych położonych dolin, nad rzeką, jaśniejący pełnem woni liściwiem. Jak w tańcu, poruszało się tam mnóstwo kwiatów, białych, czerwonych, żółtych i niebieskich***). Widziałem też dużo rybek o srebrnych łuskach i czerwonych skrzelach, pluskających po wiecznie żywych, zimnych potokach. Do zachwyconych uszu

*) Rozprawę niniejszą Jan Kasprowicz wygłosił w formie odczytu w sali ratuszowej lwowskiej 8 marca 1917 r.

**) Patrz między innemi wiersz Wordswortha „Jak obłok ponad pasmem gór“ w książce „Poeci angielscy“ przekład Jana Kasprowicza.

***) Ustępy z „Canterbury Tales“ w przekładzie Jana Kasprowicza znajdzie czytelnik w antologji „Literatura powszechna“ Chmielowskiego i Grabowskiego.

szedł płynął mi w słodkich akordach dźwięk harfy, jakiego, tak mi się zdawało, nie słyszał nawet sam Stwórca świata; zaś śpiewom ptaków towarzyszył tylko szum, a czasem łagodny tylko szelest wiatru, w zielonych odzywającego się liściach".

Jak widzimy, jest to obraz, któregoby się żaden dzisiejszy, prawdziwy nie powstydził poeta-malarz.

Po Chaucerze, że przystaniemy przy najokazalszych, granitowych słupach granicznych na drodze rozwoju naszego motywu, śród twórców epoki już elżbietańskiej, nowożytne patrzenie na Przyrodę uderzy nas u Szekspira, jakkolwiek w dramatach jego w porównaniu z takim np. byronowskim „Manfredem" tego rodzaju motywy, naogół wziąwszy, mniejszą odgrywają rolę. Przypomnijmy sobie jednakże choćby taki „Sen nocy letniej", przypomnijmy sobie pieśni elfów albo odezwania się Tytanji w tej feerji scenicznej, a przed oczami naszemi zaroi się od świętojańskich robaczków, od pszczółek, od skrzydeł motylich, od topielisk i dróg rozstajnych, od gwiaździstych niebiosów, od jutrzenek, od rosy, pyszniącej się po kwiatach, od całego romantycznego uroku, który wypełnia wnętrze kościoła poezji dzisiejszej.

Zajrzyjmy do „Cymbelina", a na czoło liryki, natchnionej przez Przyrodę, wysunie się owa pieśń:

Już śpiewa skowroneczek pod sklepami nieba,
Już wychyla się z morza złoty rydwan Feba
Spieszy poić swoje konie
Czystą wodą w kwiatów łonie
I jaskier już swe złote otwiera oczęta,
Ze wszystkiem, co jest piękne, zbudź się, moja święta!
Zbudź się! Zbudź się!
(*Przekład L. Ulricha*).

Kilkanaście zaś stronic dalej narzuci nam się owo porównanie królewiczów z obrazami, wziętymi z Przyrody — „obaj za łagodni, jak pod fijołkiem zefir dmuchający, nie pochylając wonnej kwiatów głowy: lecz kiedy wściekłość krew wzburzy królewską, są jak uragan, co sosn górnych szczyty do ziemi zgina..." albo wreszcie słowa Arwiragusa:

Przez lato, póki ta grota mym domem,
Fidele, grób twój kwiatami uwieńczę,
Znajdziesz pierwiosnek blady, jak twe lica,
Dzwonki niebieskie, jak żył twoich linje,
I róże, nie tak, jak oddech twój wonne,
Czerwonogardły rudzik by je przeniósł
Na twą mogiłę w miłosiernym dzióbku —
A kiedy już zima
Chłodnym oddechem wszystkie zwarzy kwiaty,
Płaszczem mchów grób twój odziałbym litośnie...
(*Przekład L. Ulricha*).

Ale nad wszystkiemi tego rodzaju wylewami góruje słynny śpiew Desdemony, perła liryki świata, pieśń, nie zakłócona żadnym rozdźwiękiem, jaki wywoływać musi w duszy dzisiejszego człowieka uciekanie się do określeń nam obcych, jakkolwiek służyły one kiedyś obrazowaniu Przyrody, jej zjawisk, do określeń mitologicznych—pieśń o wierzbie, pieśń o najczystszym charakterze pieśni ludowej.

„Pod wierzbą płaczącą dziewczyna łzy roni
I śpiewa: Wierzbo! Wierzbo!
W dół główkę spuściła, skroń wsparła na dłoni
I śpiewa: Wierzbo! Wierzbo!
Zdrój, mrucząc opodal, przywtarza jej jękom:
O wierzbo! wierzbo! wierzbo!
Od łez jej gorących kamienie aż miękną...
— Złóż to na boku.
O wierzbo! wierzbo! wierzbo!
— Proszę cię, śpiesz się, on wkrótce powróci
Z gałązek ja wierzby splotę sobie wianek,
Nie gańcie mu tego, przyjmuję mój los...
Nazwałam go zmiennym, a on mi rzekł: ach!
Płacz, wierzbo! wierzbo! wierzbo!
Nie jeden ci przecie zastąpi mnie gach..."
(*Przekład J. Paszkowskiego*).

Obficie szafuje Szekspir porównaniami, zaczerpniętemi z Przyrody, w sonetach lub w poemacie o „Zakochanym Pielgrzymie". W jednym z sonetów tych, zwracając się do umiłowanej osoby, zestawia ją z życiem lata:

„Mam-że cię równać z letnim dniem? Twe wdzięki
Wżdyć nadobniejsze i mniej jesteś zmienna,
Majowe burze niszczą rozkwit miękki
I krócej trwają lata błogie lenna.
Czasem źrenice niebios zbyt jaskrawe,
Nieraz je całkiem zaćmi mgła ponura;
Zniszczenie z Piękna czyni sobie strawę,
Kras je pozbawia niestała natura.
Twe nieśmiertelne lato się nie zmienia
I twa uroda to nie płone wiano,
Śmierć się nie może chełpić z swego cienia,
Gdy pójść ci w wieczność będzie przykazano,
Dopóki jeszcze dech się w ludziach kryje,
Ty w mojej pieśni, pieśń ma w tobie żyje".
(*Przekład J. Kasprowicza*).

Podobne porównania mamy i w innym sonecie:

A więc, fijołku — rzeknę — ty mój miły,
Słodki złodzieju, swe zapachy świeże
Skradłeś oddechom mej lubej: — jej żyły
Źródłem, skąd lico twe purpurę bierze.
Lilję zganię za twej ręki jaśnię,
A majeranek za twój włos; rumieni
Jedna się róża z wstydu, druga gaśnie,
Blednie z rozpaczy: trzecia, ni w czerwieni,
Ani białości, obie je okradła
I twojem tchnieniem zwiększa swe zdobycze.
Za to w jej pąku szuka sobie jadła
Mściwy robaczek. Snać wszystkich nie zliczę
Kwiatów, lecz każdy zbyt jest—widzę—skory
Kraść ci twe wonie i twoje kolory.
(*Przekład J. Kasprowicza*).

Poprzestanę na tych kilku próbach, wykazujących, w jaki sposób wielki twórca „Króla Lear'a" zużytkowuje swoje obserwacje Przyrody, sposób, niejednokrotnie sztuczny, odpowiadający duchowi wieku, dzięki wpływom renesansowej liryki włoskiej, której charakter, o ile idzie o jej szczegółowy pod względem formy odłam, sonet, zaciężył i na sonecie szekspirowskim.

Z pierwszemi wielkiemi, a przytem czystszemi obrazami spotykami się przecież dopiero u Miltona i to w dwuch poematach, zatytułowanych po włosku „*L'Allegro*" (Człowiek wesoły), oraz w „*Il Penseroso*" (Człowiek melancholijny, zadumany, smutny). Obrazy te nie mają już charakteru wyłącznie epickiego, nie są jedynie dekoracyjnym sztafażem zewnętrznego, lub choćby nawet wewnętrznego życia ludzkiego. Milton umie już przedstawiać związek wewnętrzny, istniejący pomiędzy działaniem Przyrody, a temi lub owemi, w danym wypadku radosnemi czy posępnemi stanami duszy.

„Słysząc, — powiada liryczny bohater pierwszego utworu, — jak skowronek z strażnicy wieży obłoków śpiewa poranne swe pieśni, odpędzam od siebie wszelkie troski i poprzez okno, poprzez róże i zwoje pnącego się winogradu, wesołe lubemu światu posyłam dzień-dobry. Tymczasem kogut rozpędza triumfalnym krzykiem ostatki pomroków i na czele licznej gromady samic paraduje ku wrótniom stodoły. Słychać szczekanie psów, od orosiałych zboczy płynie ponad wysoki las dźwięk rogu i rankiem budzi pasterza. Niepostrzeżony spieszę poprzez gęstwinę cisów wprost ku bramom wschodu i oto płomienne staje przedemną słońce. Obłoki w przebarwnych lśniące szatach składają mu hołdy. Za pługiem pogwizduje oracz, słychać wesołą piosnkę dziewcząt, dojących krowy: kosiarz ostrzy kosę, a pod krzewami głogu rozłożyli się pastuszkowie i gwarzą i o tem i owem. Coraz to większych, co raz to świeższych rozkoszy dostarcza mi okolica, te szare ugory, te ciemne pastwiska, na których rozrzucone pasą się stada, ten nagopierśny łańcuch gór, twarde łożysko zmęczonych obłoków, te łąki, w tysiączne dzierzgane wzory, te strumieniami płynące potoki. Tam, z łona lasu, wystrzelają wieże i bastjony zamku, tam włada piękność, ku której zwracają się oczy sąsiadów. Z poblizkiej chaty dym pomiędzy dwoma staremi przewija się dębami"...

Jest to obraz prawdziwie malarski. Słoneczne to malowidło budzącego się dnia jest przecież równocześnie związane z duszą ludzką, gdyż od niego zależne jest beztroskie usposobienie bohatera tego poematu, tak jak melancholja jego *pendent*'u „Człowieka smutnego", a właściwie rozmyślającego, pogrążonego w zadumie, „*Il Penseroso*", łączy się z obrazem wieczoru, w którym skądś zdaleka płynie dźwięk nieszpornego dzwonu, lub też z obrazem księżycowej nocy, w której rozlega się śpiew słowika, albo też z malowidłem, przedstawiającem, jak po gwałtownej burzy ostatnie krople deszczu po zielonej ściekają altanie.

(*D. c. n.*) JAN KASPROWICZ

RÓŻNE RYMY

MELODJA

PRZYPOMINA się w nocy, to się jawi, to schowa,
cała owinięta w jedwabne, jedwabne słowa.
Zaledwie ujmę je, zaledwie je rozchylę,
ulatują z zawojów materji lekkiej — motyle.
A gdy się wgłębić chcę,
zaczynają opadać jedwabie z chrzęstem i szelestem,
i ukazuje się — jak zawsze — twoja twarz!...
...I budzę się z płaczem i znowu czuję, że jestem...

NOC NAD MORZEM

ZAPADŁA na jasną twarz nieba ciężka, żelazna przyłbica,
można nie zamykać okiennic, nie będzie dziś w nocy księżyca...
„A łodzie?“—„Łodzie wrócą omackiem, wlokąc ciężkie sieci“.
— „A jutro?“ — „Nowy anioł dzień nowy roznieci
może pogodny, może deszczem przetkany, niby nitką srebrną“.
— „A czy księżycowi, gdy chmurno, ziemia nie potrzebna?“
— „Śpijcie. A przedtem spójrzcie w okno: oto czarne podniosło się [wieko
i spływa z nieba na morze księżycowe mleko“.

MORSKI SKARB

MUSZLA niebieska do muszli różowej,
a przy nich obu rożek bursztynowy,
szkło, co wygląda, jak szmaragd nieoszlifowany,
dwa przyniesione przez falę kasztany
— oto skarb. Oczy wielkie nad nim, pełne lękliwej radości
i serce, co nikomu w świecie szczęścia nie zazdrości.

DZIKIE GĘSI

„A TA gęś dzika, co leci nad morzem,
gdy noc czarna zapadnie — gdzie się spać położy?“
— „Na morzu, na dalekim oceanie, na bezgranicznej swobodzie,
korale rosnące z dna od stóp do głów kąpią się w wodzie.
Codziennie na koralu z poprzedniego dnia wyrasta koral nowy,
aż wychyną, aż wyjrzą, aż się rozgałęzią na powierzchni koralowe [ostrowy.
Tam, z krzykiem żałosnym, gdy słońce bez tchu za widnokrąg [wreszcie zapada,
klucz dzikich, północnych gęsi na krótki nocleg osiada.
Każda gęś głowę czujną nakrywa skrzydłem prawem albo lewem
i śpią, a ciepły wiatr głaszcze je, lub stroszy im piórka powiewem.

CÓRKA KORSARZY

MAŁA, czarna, szczupła dziewczynka, na imię jej Djanka,
ma cieniusieńkie paluszki, chude, opalone kolanka.
Chodzi zawsze z wielkim czarnym pudlem, albo z nianią, która [jest Chinką.
Nie chce nas znać, nie bawi się nigdy z żadną inną dziewczynką.
Nie bawi się wcale; lubi siedzieć bezczynnie na wielkiej chustce [czerwonej;
patrzy na morze, nie na nas, nie ogląda się nigdzie na strony;
przesypuje powoli piasek, lub śpi razem z pudlem na plaży.
My myślimy, że ta dziewczynka jest pewnie córką korsarzy.

ZŁY CZŁOWIEK

BIEDNY człowiek, który podpalił dom nasz i stodołę,
śpi w opuszczonej budzie, deski pod nim gołe.
Jutro pójdzie dalej, z ciężkiem sercem i zmęczony niezmiernie,
naprzełaj, bez drogi, przez bajora, kamienie, nieużytki i ciernie.
A u nas już cieśla ciosa jasne belki z conajgrubszych jedli,
pachnie smołą — i lada chwila nowe dźwignie się osiedle.

KRZYSZTOFOWE KRÓLIKI

KRÓLIKI Krzysztofowe
mają dzwonki kryształowe;
jak tylko wstanę, zaraz polecę
zobaczyć jak im jest, bo są u Pana Boga za piecem.

FLAMINGI I ETJOPY

GDY zasypia Krzysia kędzierzawa, jak baranek,
pod różową kołdrą, pod cieniem nierównym różowych firanek,
śnią się jej z dziobami ostremi, jak klingi,
długonogie, zamyślone różowe flamingi.
Już przestępują ze stopy na stopę,
już się mają zrywać — wtem czarne wpadają Etjopy.

KORA I REINKARNACJA

KORA — aż zabawnie
mówić—dziś jest psem, ale czem była dawniej?
Ja myślę, że łagodną młodą Egipcjanką, wcale niepodobną do mumji.
I teraz jeszcze czasem widuje Nil i w szumie
niewidzialnej z powodu przeszłości rzeki rozróżnia klekot suchy [trzcin i bełkot wody o blizkie mielizny;
widzi we śnie ibisy, lotosy i krokodyle,
wszystko to u brzegów Nilu,
ale się nigdy do tego nie przyzna.

DZIECI I TEOZOFKA

ŁAGODNA jest, miejscami siwa, w sukni oblazłej jak fotel [starożytny; —
nie warto się jej bać, z głębi zgasłych, zapadłych oczu zawsze dla [nas ma wzrok błękitny.
Była już w niebie razy kilkanaście,
raz ją rodziło jedno, potem inne plemię;
tym razem wniosła różne smutki, choroby... I nie wiemy właśnie
dlaczego tak uparcie powraca na ziemię?

PORTRECIK

TWARZYCZKA szczupła, ruchliwe brwi i—jak jedwab zmięte,
zwichrzone u prawego policzka — włosy nie dawno obcięte;
broda oparta na małej, skurczonej w kłębuszek pięści;
w drugiem ręku list, zgnieciony tak, że aż tutaj słychać, jak chrzęści.
Ktoś stanął pod oknem i podgląda; chwieje się płomień przez kogoś [porzuconej świecy...
Jedwabny, wiśniowy szal obsunął się i odsłania cudowną linję [szlochajacych pleców.

DRZEWO PRZY DRODZE

DRZEWO, całe oblepione cierpkim drobnym owocem,
stoisz tuż przy tej drodze, gdzie przebiegam tak często nocą,
Piasczyste tamtędy pociągnięte koleje,
niedaleko rozłożysta wioska bieleje.
Wartko rzeka niesie skoszone trawy i stadka gęsie i kacze...
Wydzieram się z ciała, biegnę tamtędy, obejmuję cię, znajoma
jabłonko dzika, i płaczę,..

I. K. IŁŁAKOWICZ

GŁOSY

BIUROKRATYZM UTOPIJNY

DO gorących zwolenników idei kooperatyw światowych należy delegat do Ligi Narodów prof. Oskar Halecki. „Nowiny Naukowe“ ogłaszają w ostatnim numerze entuzjastyczny jego artykuł o nowej zdobyczy w dziedzinie zrzeszania cywilizacyj w postaci „Międzynarodowego instytutu współpracy umysłowej“, który teraz powstał w Paryżu staraniem Ligi Narodów.

Komisja współpracy umysłowej przy Lidze Narodów rozpoczęła swoją działalność w r. 1922. Od 1 listopada 1925 funkcjonuje Instytut paryski. „Oprócz uposażenia rocznego — pisze p. H. — Francja oddała Instytutowi piękny lokal, złożony z kilkudziesięciu sal i pokoi w samym centrum Paryża w jednem ze skrzydeł Palais Royal. Uroczysta inauguracja nastąpi w połowie stycznia 1926, już teraz jednak prace Instytutu są w pełnym toku“. Na jednem z najbliższych Zebrań Instytutu będzie omawiana sprawa organizacji bibljografji w zakresie ekonomji politycznej a Naukę polską reprezentować będzie prof. Antoni Kostanecki... Dyrektorem Instytutu jest prof. J. Luchaire. Ile nam wiadomo, rząd polski ofiarował na cele Instytutu sto tysięcy franków, mianowicie na cele pomocy naukowej w sekcji uniwersyteckiej. Będzie wychodził Biuletyn (dwumiesięczny) spraw nniwersytetów wogóle.

P. Halecki, który w Lidze Narodów udział Polski w „współpracy umysłowej“ reprezentuje, wiele zapowiada projektów, ale wszystkie one są raczej zapowiedziami pomysłów, które się ciągnie za włosy, by krzyczały, jak są potrzebne. A właściwie one nikomu nie są potrzebne. Wszystkie one mają charakter zajęć biurokratycznych i w wykonaniu urzędowem nie będą przedstawiały dla uczonych żadnej wartości. Są to pozy, nie pozycje naukowe. Świadczą o niesłychanym rozpędzie biurokratyzmu, który ogarnął sfery reprezentacji naukowej. Instytut paryski, jak z tego widać, będzie instytucją obrzędów inteligencji, karmiącej międzynarodówkę swoją piersią.

Jaka jałowość tchnie z projektów swej „współpracy“, dowodem sprawa biuletynów uniwersyteckich. Istnieje Biuletyn uniwersytecki w Niemczech p. t. „Minerwa“, a we Francji „Index generalis“. Jakież zmartwienie ma Instytut?

> „Instytut — pisze p. Halecki — nawiązał już stosunki z jednym i drugim, ale zapośredniczeuie pewnej ugody między oboma wydawnictwami, ugody, któraby pozwoliła usunąć braki każdego z nich, a zarazem zaoszczędziła czytelnikowi trudu zaglądania w każdym wypadku do dwóch różnych dzieł — to będzie niewątpliwie jednem z trudniejszych zadań sekcji uniwersyteckiej“.

Rzecz więc tak się przedstawia: rząd polski i inne płacić będą sumy na utrzymanie Instytutu, aby sekcja uniwersytecka zaoszczędziła trudu czytelnikom zaglądania do dwu wydawnictw... Trzeba stworzyć trzecie w sposób ugody między Niemcami i Francuzami.

Czy nie szkoda na to wszystko pieniędzy i ludzi? Nietylko nie widzimy pożytku z tego naciągania sieci międzynarodowych, ale przeciwnie widzimy w tem rozrzucaniu się na zewnątrz krzywdę, wyrządzaną psychice naszego narodu. Oczywiście trzeba się liczyć z koniecznościami politycznemi — być tam, gdzie należy i szerzyć propagandę polską. Ale nie trzeba tej propagandy kierować na opak do życia naszego wewnętrznego. W Polsce ludzie powinni wiedzieć jedno: że trzeba pracować na własnym warsztacie z myślą o potrzebach własnej cywilizacji. Tak dorabiały się wszystkie narody, z którymi teraz chcemy stanąć do kooperatywy. Trzeba naprzód mieć coś, z czemby się inni w kooperatywie liczyli. Wtedy Polska będzie atrakcyjna, kiedy uczeni polscy wniosą bogaty dorobek do cywilizacji światowej. Entuzjazm p. Haleckiego przez udzielanie się kolegom i młodzieży może wytworzyć w Polsce ród wodzirejów zabaw międzynarodowych, ale nie twórców. Przecież dość ścisnąć w garści to, co zapowiada, aby się pokazało, że to „niuch tabaki“.

Nasi ludzie zwłaszcza „lewicujący“ używani do posług zagranicą, ulegają dwu wpływom: urzędowemu i drugiemu z międzynarodówki, a polegającemu na marocie, że uda się stworzyć jakiś „międzynaród“ w drodze „umowy społecznej“ z pełnią życia psychicznego, jakiś system nadnaturalny, pozornie sprzeczny z ideą powrotu do natury Rousseau'a, ale z jego utopji ród wiodący, jako ziszczenie „wolności powszechnej“, wolności — od narodu. Ten drugi wpływ jest sprawcą ich entuzjazmu, nie licującego z rzeczywistością i tragikomicznie wyglądającego w kraju, gzie ludziom obmierzły już utopje. Mówiliśmy już w poprzednim zeszycie, że nie czas stylizować lilje, gdy trawa nie rośnie.

Nie trzeba się denerwowować potrzebami europejskiemi w sprawach pracy naukowej. Britisch Museum zaspakajało potrzeby całego świata, kiedy jeszcze Ligi Narodów nie było. I zawsze tak będzie, że wielkie cywilizacje będą pracowały dla dobra całego świata — i dla tego będą wielkie. Ale nie byłyby wielkie, gdyby liczyły na biurokratyczne kooperatywy. (X)

PROF. PIGOŃ O „MYŚLI NARODOWEJ“

WIELKĄ radość sprawił nam artykuł prof. Stanisława Pigonia w noworocznym numerze „Dziennika Wileńskiego“ p. t. „Pierwszy tom Myśli Narodowej“. Radość—dlatego, że praca nasza znalazła uznanie u krytyka wysokiej wartości moralnej i umysłowej, którego umysł badawczy i wrażliwy, nie zamknięty na objawy życia, wysoko cenimy.

Prof. Pigoń poświęcił zamkniętemu w tom początkowi naszego wydawnictwa (za październik — grudzień r. ub.) obszerny artykuł, aby podnieść jego znaczenie programowe dla polskiej pracy kulturalnej. I właśnie dlatego cenny jest jego sąd, że umiał wejść w nasze zamiary, nietylko w skromne wyniki początkowej pracy.

Nawołując inteligencję polską do prenumerowania „Myśli Narodowej“ i kompletowania, prof. Pigoń robi uwagę, że w braku zainteresowania tem pismem widziałby „symptom niedbałości niefrasobliwej o dokonywującą się w duszy polskiej współczesnej formację nowoczesnego sumienia moralno-narodowego“.

> „Pismo to bowiem—pisze prof. Pigoń o „Myśli Nar.“— z góry postawiło sobie za zadanie: nietylko informować, nie tylko przynosić wiadomości o tem, co się robi gdzieś tam w świecie na polu kultury,—ale współtworzyć, być dźwignią w warczącej naokół maszynie nowoczesnego życia, mianowicie życia narodowego, polskiego. „Myśl Narodowa“ chce być organem owego formującego się sumienia. Niedbałość wobec niej tłumaczyłaby się niedbałością o same podstawy naszego dzisiejszego istnienia i naszej jutrzejszej wielkości.
>
> „Myśl Narodowa“ jest pismem w naszych stosunkach osobliwem. Ponad inne czasopisma wybija się tem, że nie jest, jak to zwykle bywa, składanką dorywczą artykułów mniej więcej ciekawych, pochwytanych w przypadkowej gonitwie redaktora za współpracownikami. Pismo to jest jednostką wprost organiczną, jest jakby jednolity postaw sukna, rozwijany przed oczyma czytelników w coraz bogatszej pełności. Poszczególne zeszyty są jakby słowami, które dopiero w większym uporządkowanym zespole dają pełny sens adania. Trzeba uwzględnić większe jego całości, by wydobyć z nich ów organicznie rozwijający się rdzeń programu ideowego“!!

Prof. Pigoń robi dalej przegląd treści zamkniętego tomu i z uznaniem podnosi wartość działu literackiego. Z pośród nowel wyróżnia „Grabinkę“ Stefana Godlewskiego, jako „opowieść fantastyczną o dziwnej świeżości ujęcia“.

Prof. Prgoń podkreśla to, do czego wielką wagę przywiązaliśmy, że w pojęciu „twórczość polska“ mieścić

będziemy nietylko literaturę i sztukę, jak to się zwykle pojmuje, ale cały proces tworzenia cywilizacji z własnych pierwiastków. Zaznacza mianowicie, że „Myśl Nar." jest

„organem pracy pokolenia, dostosowującego się corychlej do nowego trybu powinności obywatelskiej, tudzież mającego przysporzyć psychice kapitału na przyszłą wielkość państwową narodu polskiego. Tak rozumiejąc twórczość, „M. N." nastawiła światło baczniejszej uwagi na dwa objekty, na dwa czynniki cywilizacji narodowej: na inteligencję i na lud wiejski. To są dwa ogniska, ustalające rozmiar elipsy, w jaką się układa program ideowy pisma. Z tych dwu współczynników jeden, inteligencję dzisiejszą, trzeba zawracać z bezdroży, drugi — lud — należy odrazu wprowadzić na drogę należytą".

Prof. Pigoń zadał sobie trud zestawienia i streszczenia zasadniczych artykułów „Myśli Nar." Zrobił to przenikliwie i z wielką starannością, co nam prawdziwy zaszczyt przynosi. Skończył zaś swój piękny artykuł słowami:

„Trudno tu więcej cytować i referować. Wystarczy i tego, aby zobaczyć, jak głęboko garnie myśl narodowa w tem piśmie, jak uczciwie, ponad interesami poszczególnych obozów, wiąże węgły własnej twórczej, nie odtwórczej kultury. Wystarczy też może, by temi próbkami skłonić bacznego czytelnika do sięgnięcia po samo pismo. Do sięgnięcia i do zajęcia się niem przez czas dłuższy... Jak z pierwszego tomu widać, „Myśl Narodowa" jest pismem, które kompletować warto. Ponad doraźność, konieczną w piśmie tygodniowem, wybija się w niem ciągłość jasna wytkniętego zadania, stopniowo dochodzącego do pełni ujęcia. Nic w niem z jednodniowości i nic z jarmarcznego zgiełku. Mówi się tam o życiu narodu, o jego sprawach wieczystych, z powagą i głębią, przystojną rzeczom wielkim".

(X)

PRZEDMURZE CHRZEŚCIJAŃSTWA

JEDNA z głównych obecnie i na wielką skalę prowadzonych robót żydostwa światowego polega na podstawianiu Żydów na miejsca przewódców i przedstawicielów narodów aryjskich. Dla pełnej skuteczności swej powinna ona ogarnąć wszystkie bez wyjątku dziedziny życia kulturalnego. I rzeczywiście — do tego dąży. Terenem jej z natury rzeczy jest inteligencja każdego narodu zażydzonego.

Najbliższym celem tej roboty jest opanowanie przez Żydów inteligencji każdego narodu najechanego, czyli jego mózgu. Odbywa się to nie ryczałtem, rzecz prosta, ale z zastosowaniem podziału pracy w przestrzeni i stopniowań w czasie. Tak oto, naprzykład, w Polsce byliśmy sami świadkami stopniowego opanowywania przez Żydów polskiej warstwy robotniczej. Dzisiaj już rządzą Żydzi dużym odłamem robotników socjalizmu polskiego, za niego myślą, kierują nim, przez niego dla swoich celów działają. To samo ma być z każdą warstwą narodu i na każdem życia polu.

Są w tej robocie miejsca dla Żydów bardzo trudne, jak oto chłopi. Są inne, bardzo łatwe, jak miejska inteligencja wolnych zawodów. Praca idzie w tempie nierównem, ale posuwa się naprzód. Nieodzownym jej warunkiem jest posiadanie dużej ilości inteligentnych i wykształconych Żydów, udających Polaków. Dlatego Żydzi tak wielką wagę przywiązują do tego, żeby się mogli masowo, bez ograniczeń kształcić w szkołach polskich. Dlatego również kupują sobie nazwiska polskie, które im ministerjum spraw wewnętrznych sprzedaje.

Wiemy, że niektóre części akcji żydowskiej w t. zw. zawodach wolnych są już blizkie ideału, np. prasa i adwokatura. Dwa te działy (poza handlem i finansami) najbliższe są sercu żydowskiemu, a stanowią zarazem giętką odskocznię dla opanowania całego życia umysłowego danego kraju. Piękna ta i wzorowo zorganizowana robota byłaby jednak niepełna, gdyby Żydzi cofnęli się przed najdrażliwszym jej zaplotem, mianowicie przed religją narodu i jego kościołem. Na chwałę genjalnego instynktu prowokacyjnego rasy trzeba dziś stwierdzić, że i tu praca już się zaczęła.

Poszczególne objawy chrzejścijańskiej maskarady żydowskiej dawno są w Polsce znane. Do najdawniejszych i zarazem najjaskrawszych należy słynny ruch frankistowski przy końcu wieku osiemnastego, dzięki któremu szlachta polska otrzymała zastrzyk czystej krwi żydowskiej w postaci kilkudziesięciu rodzin neofitów. W sto lat potem była „asymilacja" i nowe masowe przechodzenie inteligencji żydowskiej na łono tego lub owego kościoła. Obecnie przyjmują katolicyzm nawet Żydzi — socjaliści, jak np. p. Haecker redaktor „Naprzodu" krakowskiego, co mu nie przeszkodziło, rzecz prosta, pisać aplogje morderstwa, dokonanego w Krakowie na ułanach polskich (6 listopada 1923 r.).

Cały ten liczny ruch neoficki daje Żydom dużo cennych korzyści. Otwiera im drzwi do urzędów, stanowisk, karjer i małżeństw, któremi już bezpośrednio krew polską psują. Daje im również maski czcigodne. Pomimo to ruch ten posiada cechy prywatne i indywidualne, nie nadaje się przeto do zbiorowych i publicznych, manifestacyjnych w duchu chrześcijańskim wystąpień. Te zaś potrzebne są żydostwu wojującemu dla hypnozy i działania na ogół inteligencji polskiej. Zatem postanowiono przystąpić i do tej delikatnej roboty.

Zwiastuny nowej maskarady żydowskiej pojawiały się już od lat kilku. Tak, naprzykład, znamienne było w swoim czasie wystąpienie z gorącą obroną katolicyzmu ze strony zażydzonego „Kurjera Polskiego". Ale systematyczna w tym kierunku praca zaczęła się dopiero odniedawna, mianowicie na łamach żydowskiego tygodnika „Wiadomości Literackich". Tygodnik ten pod firmą artystyczną pełni czynności wywiadowcze polityki Mocarstwa Anonimowepo na odcinku inteligencji miejskiej frontu polskiego. Jest ów tygodnik w rękach M. A. czasem balonem próbnym, czasem oddziałem harcerskim, czasem balonem gazów trujących, lecz stale w masce prowokatorskiej.

Z pośród wielu arcychrześcijańskich manifestów „Wiadomości literackich" przytoczę tu, jako wzór, dwa okresy p. Anatola Sterna z jego przemowy żałobnej na śmierć Wł. Reymonta („Wiad. Lit." 13.XII.1925): „Chrystjanizm „Chłopów" może się wydać dekoracyjnym kompleksem wierzeń chłopskich, epicko zaobserwowanych i podanych przez Reymonta. Lecz taki sąd byłby sądem ateisty lub religijnego romantyka, nie uznającego całej powagi tradycji, dogmatów i form, uświęconych przez kościół. Ta jest nieprzemijająca wielkość epopei, że pisana przez pisarza głęboko wierzącego, przepojona jest przepotężnym duchem katolicyzmu..." i t. d. A w zakończeniu p. Stern, patrząc w katedrze na trumnę pisarza, tak sobie myśli: „pomyślałem sobie, że tu jest ojczyzna i pokrewieństwo duchowe pozytywnych ideałów sztuki nowej, a kto wie, może i ten duch, religijny duch chrześciański... którego obecność coraz wyraźniej odczuwany wokół siebie i w swej zbyt długo już stojącej pustką piersi".

Skoro Żydzi w kościele katolickim znaleźli „ojczyznę i pokrewieństwo duchowe pozytywnych ideałów sztuki nowej", t. j. tej sztuki, której przedstawicielem na Polskę jest żydowska grupa „Skamandra" i „Wiadomości Literackich", to słuszną tu będzie rzeczą dać *stante pede* krótki rys historyczny tej grupy i jej pozytywnych ideałów. Wtedy czytelnik sam objektywnie i w niewątpliwem złocie oceni wartość powyższych oświadczeń żydowskich.

Kolebką owej „nowej sztuki" w Warszawie było zdarzenie następujące, o którem wiadomość przepisuję

wprost z prasy, mianowicie z tygodnika „Rozwój“ z dnia 12 lipca lipca 1919 roku:

„*Szwindel*. W paru pismach warszawskich ukazało się „Wyjaśnienie“ polskiej młodzieży akademickiej, która wydawała w swoim czasie pismo „Pro arte et studio“, lecz z chwilą wyjazdu na front i zamknięcia uczelni wydawnictwo zawiesiła. Z wyjaśnienia okazuje się, że po pewnym czasie, pismo bezprawnie zostało wznowione przez kilku żydków, przyczem żydkowie ci zmienili dawny tytuł na „Pro arte“, zamiast podtytułu „Pismo młodzieży akademickiej“ dali podtytuł „Pismo młodzieży literackiej“, na blankietach redakcyjnych drukowali „Pro arte, dawniej Pro arte et studio“, zachowali format, okładkę, klisze, oraz numerację dawniejszą lat i zeszytów wydawnictwa, słowem — popełnili szwindelek. Żydkowie ci nazywają się: A. Słonimski, J. Tuwim, M. Grycendler, Breiter, Kobryner i Higier, oraz niejaki Serafinowicz— Polak zżydziały. Akademicy—Polacy zapowiadają w swem „Wyjaśnieniu“ sąd koleżeński na owych żydków.

Naszem zdaniem należy sprawę oddać wprost do sądu państwowego. Żydów za kolegów uważać nie można. Niech Akademicy — Polacy przypomną sobie „Rezolucję żydowskiej młodzieży akademickiej“, którą w niniejszym zeszycie „Rozwoju“ podajemy. Gdy Polacy szli na front, ich „koledzy“ żydzi rzucali na nich oszczerstwa i przywłaszczali sobie szwindlami ich prawa i prace, jak to właśnie uczynili z „Pro arte et studio“. Na szwindlarzy jest kryminał, a nie sąd koleżeński“.

Tak oto pierwszą widomą fazą w rozwoju owej „nowej sztuki“ był szwindelek. W dalszym ciągu grupa żydków-szwindlarzy zaczęła urządzać kabarety nocne, Pikadory, gdzie przy wrzasku *jazz-bandów*, wśród ordynarnych orgij rozpajano i rozwydrzano artystów polskich i młodzież. Ze szwindelku powstał handelek. W tej właśnie gorącej atmosferze wylągł się miesięcznik „Skamander“ (kryptonim Jordanu), dokoła którego wciąż ta sama banda Słonimskich, Grycendlerów, Tuwimów i Breiterów zgrupowała prócz innych Żydów-Wittlinów, Eigerów i Pomperów pewną ilość poetów Polaków, wśród których nie brakło grafomanów. Zaczęła się trzecia faza — skamandrylnej porkografji.

Utwory nowej sztuki zaroiły się od kloakizmów, abortyzmów, pissuaryzmów i propagandy wszelkich zboczeń płciowych. Przodowali tu panowie Jarosław Iwaszkiewicz, M. Rytard, Karski, Jasieński, Wat i Anatol Stern (dzisiejszy właśnie katolik).

Obok porkografji propagowano bolszewizm, jako jej odpowiednik polityczny, plazmatyzm i nekroforyzm — kierunki czysto żydowskie, oraz ekspres-syjonizm, jako przygotowanie do istotnego syjonizmu. Ze strony polskiej wciąż jeszcze nie było reakcji. Zjawiały się nawet hymny pochwalne dla „Skamandra“ w rodzaju: „Miejsca! Młodzi idą! Usunąć się! Hosanna! Evoe! Pierwsza niepodległa! Przyjmujemy was z najgorętszą serdecznością, czyniąc szpaler, wywijając palmowemi gałązkami“... i t. d. Pomimo to w niedługim czasie siedzący za kulisami bandy Sanhedryn ocenił, że ów pankloakizm poetycki jeszcze jest w Polsce przedwczesny i kazał zmienić taktykę. Naraz, jak nożem uciął, umilkły abortyzmy, a zboczenia płciowe schowały się do prywatnych apartamentów.

Wtedy obok „Skamandra“ zaczął wychodzić tygodnik „Wiadomości Literackie“, a wraz z nim rozpoetyzowane żydy weszły w czwartą fazę rozwoju, którą słusznie opatrzono nazwą „bigos hultajski“. Utraconą chwilową z powodu kloakizmów reputację postanowione odzyskać przez dobre towarzystwo. Poszły w kąt różne passeizmy i futuryzmy, a „Wiadomości Literacki“ raz w raz rozbrzmiewają nazwiskami Mickiewiczów, Sienkiewiczów, Conradów, Reymontów, Żeromskich, Kasprowiczów i t. d., nie zapominanając zresztą ani na chwilę o Erenburgach, Fitelbergach, Opatowskich i mnóstwie innych Żydów. Jednocześnie przez łamy tego tygodnika przewłóczy się tak czy owak zdobywane utwory literatów polskich — z fotografjami lub bez — aktualnie piszących.

Tym sposobem zyskała grupa skamandrylów ruch karuzelowy, a dla tłumów pozór, że jest ośrodkiem kultury polskiej. Robi się tam, naturalnie, w dalszym ciągu politykę żydowską, ale w gąszczu nazwisk polskich przemycaną. I oto nastał nareszcie odpowiedni czas na chrystjanizm i katolicyzm. Wczorajsi bolszewicy, jak p. A. Stern, który tęskni „do 100 miljonów chamów bez różnicy ras i wyznań, żeby udusić obowatela“, wczorajsi kloakiści, cynicy i abortyści — a zawsze Żydzi, Grycendlery i Pompery, naraz imponującym pochodem idą do Katedry, padają na kolana i intonują „Te Deum“.

Zaczęli od małego szwindelka, kończą (o ile już kończą) na dużym. Duży szwindel ma ich do kilku naraz celów doprowadzić, o których tu mówić nie mogę, chociaż poznałem je do gruntu. Tymczasem wystarczy nam zdemaskowanie jednego. Polska jest chrześcijańska i katolicka? Ale w przedmurzu tem ani jednego Żyda nie było... Oto luka niebezpieczna. Więc trzeba i tu mnóstwo Żydów podstawić, żeby murem przed tamtem przedmurzem stanęli i stworzyli jeszcze bardziej wysunięte, głośne, jaskrawe, mocno reklamowane, a więc właściwe dla tłumów przedmurze chrześcijaństwa. I oto zaczyna się sylwestrowy „ryk w cyrku“ świata... Oni — Słonimery, Grycendlery, Pompery, Sterny, Tuwimy, Wittliny i Waty — Polaki, patryjoty, szowiniści, nacjonaliści, pacyfiści, chrześcijanie, katoliki, papiści, ultrapapiści, — oni są przedmurzem chrześcijaństwa!

Od dłuższego już czasu patrzę na tę komedję szulerów i oszustów życia. Widzę i notuję wszystkie ich posunięcia, fałsze, kruczki, kozły, wolty, szwindle, szantaże, domina, maski, maski masek, marsze i kontrmarsze tych marszelików „nowej sztuki i nowej kultury“, majufesy i kontrmajufesy, figle i kontrfigle tych filutów zza płotu, Figelwurzlów i Firułkesów muzy kahalnej — i bawię się niemi niezgorzej.

Ale z coraz większą pogardą patrzę na literacką inteligencję polską, która tej bandzie ordynarnych szajgeców daje się oszukiwać i sobą poniewierać.

ST. PIEŃKOWSKI

PRZEGLĄD POLITYCZNY

WYZWOLENIE

JEST w dziennikach pewien typ wiadomości, powtarzających się stale, niemal codziennie. Biorąc do rąk gazetę, zgóry można przypuścić, iż w rubryce „wypadki“ znajdzie się informację o „nieostrożnej jeździe szoferów samochodowych“, „podrzucenie noworodka“ lub „samobójstwie pod wpływem zawodu miłosnego“. Do tego typu wiadomości, w kronice politycznej i parlamentarnej, zaliczyć trzeba regularnie powtarzające się doniesienia o „nowym rozłamie w Wyzwoleniu“. Pisząc o rozłamie najnowszym, zbliżony politycznie do „Wyzwolenia“ dziennik warszawski zaznacza, iż „nowy rozłam będzie piątym w ciągu roku“. Policzono tu najwidoczniej tylko rozłamy ważniejsze, gdy posłowie i senatorowie opuszczali szeregi stronnictwa grupami, nie biorąc pod uwagę wypadków, gdy usuwali się w sposób mniej hałaśliwy, po jednemu.

Jest przytem godne uwagi, iż te ciągle powtarzające się rozłamy nie są wcale wyrazem jakiejś określonej, w stałym odbywającej się kierunku, ewolucji stronnictwa. Selekcja odbywa się w sposób najzupełniej chaotyczny, raz odpada grupa, skłaniająca się raczej ku prawicy, innym razem znów ku najskrajniejszej lewicy. Raz opuszcza „Wyzwolenie“ grono umiarkowanych inteligentów, kiedyindziej „jaczejka“ ciążących ku komunizmowi chłopskich radykałów. W ostatnich dniach podały dzienniki wiadomość, że poseł Ćwiakowski ukończył właśnie uniwersytet, wskutek czego poczuł się w „Wyzwoleniu“ tak

obco, iż natychmiast ze stronnictwa wystąpił. Obecnie znów sensacją dnia jest uchwała zarządu głównego „Wyzwolenia", ogłaszająca wykluczenie ze stronnictwa b. prezesa tegoż zarządu pos. Jana Dąbskiego. Niewątpliwie decyzja ta pociągnie za sobą dalsze konsekwencje, pos. Dąbski bowiem posiada w klubie „Wyzwolenia" oddanych sobie zwolenników.

Jakież przyczyny doprowadziły do tego ostatniego kryzysu? Jest rzeczą widoczną, iż pos. Dąbski od pewnego czasu dążył do rozłamu w „Wyzwoleniu", wysuwając hasło połączenia z grupą p. Bryla, przeciwko czemu opowiedział się wyraźnie ostatni Kongres stronnictwa. Uchwała zarządu głównego stwierdza kategorycznie, iż pos. Dąbski prowadził akcję swą „celem zaspokojenia ambicyj osobistych". Zwolennicy p. Dąbskiego są w tej sprawie prawdopodobnie innego zdania. Sądzą zapewne, iż zgodnie z poglądami p. Dąbskiego, pos. Bryl i jego grupa, zarówno ze względu na wartości moralne jak i na poziom umysłowy, najdoskonalej nadają się na stworzenie ośrodka krystalizacyjnego dla przyszłego „zjednoczonego ruchu ludowego".

Czemu zaś sfery, kierujące dzisiaj „Wyzwoleniem", tak stanowczo połączeniu z grupą p. Bryla się sprzeciwiały? Pos. Dąbski w ogłoszonym już po uchwale zarządu wywiadzie wyraża opinię, iż obecni „przywódcy Wyzwolenia boją się wszelkiego wzrostu liczebnego, aby nie stracili decydujących wpływów"...

I tu właśnie dochodzimy do istoty zagadnienia. Walki wewnętrzne w „Wyzwoleniu" dlatego tak przykre, tak niesmaczne sprawiają wrażenie, że podkładem ich są zawsze spory i kombinacje osobiste. Nie widać tam starć na tle programowem, przełomów ideowych, będących wprawdzie także świadectwem chaosu, ale chaosu twórczego. Ferment w „Wyzwoleniu" nie ma nic z młodzieńczego piękna *Sturm und Drang Periode*. I dlatego jedynie, właśnie dlatego, przyznać trzeba całkowitą słuszność słowom, jakiemi określił dzisiejsze położenie stronnictwa poseł Dąbski: „początek końca"...

Ale określenia tego nie można zacieśniać tylko do grupy przeciwników p. Dąbskiego. Rozłam ostatni wykazał taki brak wszelkiego programu, taką pustkę ideową i umysłową obu stron walczących, że musi stać się początkiem reakcji szerszej, reakcji coraz powszechniejszej wśród warstw ludowych przeciw dotychczasowym niepowołanym przywódcom i ich metodom. A wówczas „początek końca" Wyzwolenia stanie się początkiem istotnego wyzwolenia ludu z pod władzy demagogów.

IGN.

NAUKA I LITERATURA

ARYSTYDES CZY ARISTEJDES? FEDON CZY FAJDON?

Na sposób pisowni i wymawiania greckich imion własnych niema u nas do dziś dnia powszechnej zgody.

Przed czterema blizko laty, w „Gazecie Warszawskiej" (w numerze z dnia 13 lutego roku 1922) niżej podpisany ogłosił artykuł p. t. „Coby na to powiedział Jan Śniadecki?"; protestował tutaj autor przeciwko greckiej transskrypcji greckich imion własnych, jako nowotworowi niezgodnemu z tradycją, uświęconą przez takich mistrzów słowa polskiego, jak Mickiewicz i Sienkiewicz, a więc np. przeciwko pisaniu i wymawianiu „Aristejdes" zamiast „Arystydes", albo „Fajdon" zamiast „Fedon". Obok własnych argumentów powołał się autor owego artykułu na Jana Śniadeckiego, który tak pisał do Lelewela (z powodu jego rozprawy „Opis Skythii Herodota"): „Starożytne słowo, przyjęte do naszego języka, bierze prawidło odmiany i zakończenia od nas, ale nie my od niego; greckie np. słowa giąć się powinny do naszego języka, nie nasz język do greckiego, z którym żadnego nie ma związku: któżby to z Waszmość panem napisał i wymówił: Egiptian, Europeów, Aristotela itd., kiedy dobrzy dawni pisarze i teraźniejsi, a nawet powszechnie przyjęty zwyczaj, inaczej każe; radziłbym Waszmość panu wystrzegać się pedantów niemieckich, którzy najczęściej przy nauce nie mają smaku ani rozsądku".

Na artykuł w „Gazecie Warszawskiej" ostro odpowiedział Tadeusz Sinko (w artykule: „Z grecka czy z łacińska", w „Czasie" z dn. 20 lutego tegoż roku), oświadczając się stanowczo i bezwarunkowo za transskrypcją grecką. I przy tej zasadzie twardo stoi ogół naszych filologów.

Świeżo wystąpił w jej obronie inny znakomity filolog Stanisław Witkowski w przedmowie do swojej „Historjografji greckiej", dopuszczając zresztą (podobnie jak i Sinko) kompromisy. „Bez kompromisów się nie obejdzie — pisze Witkowski — i kompromisową jest i moja metoda transskrypcji. Tą transskrypcją powinienby się zresztą zająć jakiś zjazd filologów i polonistów i ustalić wytyczne jej zasady".

Na to zgoda, ale czyby nie należało do tego zjazdu dopuścić także wybitnych artystów słowa polskiego, boć i oni chyba mają prawo, bodaj czy nie większe od filologów, zabierać głos o języku ojczystym. Jeden taki głos przytaczamy dosłownie:

> Szanowny Panie Profesorze!
>
> Uprzejmie dziękuje zą zwrócenie się do mnie w sprawie pisowni takich wyrazów, jak Alkibiades, Ajschylos, Arystejdes.
>
> Skąd w naszym polskim[1]) języku Arystejdes? Mamy polski[2]) wyraz Arystydes, jak mamy „Monachium" a nie München, „Medjolan", a nie Milano i t. d. Małachowski jest „Arystydesem polskim" i będzie dziwolągiem nazywać go „Arystejdesem polskim".
>
> Ze wszystkiego — Fajdon jest najlepszy.
> „A przed nim leży Fedon i żywot Katona".
> Łączę wyrazy najgłębszego szacunku, z jakim pozostaję.
>
> S. Żeromski
>
> Warszawa, d. 2.X.1923 r.

Może ten głos Żeromskiego zaważy trochę na szali obrad zjazdu, który proponuje zwołać Witkowski. I kto wie, czy Żeromski nie znajdzie sojusznika w jednym z naszych filologów, i to bardzo znakomitym: jest nim bowiem Stanisław Wędkiewicz, który nie tak dawno na łamach „Języka Polskiego" (r. 1923), pisał, że „zasada wymawiania nazw cudzoziemskich w cudzoziemski sposób ma wiele argumentów za sobą, ale nie da się przeprowadzić w całkiem konsekwentny sposób", że mianowicie „dla nazw, utwierdzonych wiekową tradycją, można i należy bez skrupułów dopuścić odstępstwo od racjonalnej niewątpliwie reguły". A czyż takie imiona jak Arystydes, Fedon, Ezop, Egipt, Cymon, Alcybjades, nie sa uświęcone wiekową tradycją? Zjazd, proponowany przez Witkowskiego, powinienby to wziąć pod uwagę.

IGNACY CHRZANOWSKI

TRENY ŻEROMSKIEGO

Ogłoszona w roku 1920, w pierwszym zeszycie „Nowego Przeglądu Literatury i Sztuki", następnie włączona do zbioru p. t.: „Pomyłki" (Warszawa 1923) — nowela „Złe Spojrzenie" stanowi pośród drobnych utworów Żeromskiego jeden z najmocniejszych i najbardziej znamiennych przejawów jego twórczości.

Przedstawienie genezy tego utworu odsłania nietylko głębokie jego podkłady liryczne, ale w wielkiej mierze tłumaczy całą pracę artystyczną i praktykę poetycką Żeromskiego. W poznaniu genezy noweli zyskujemy przykład dowodny, jak pilnie podpatrywał Żeromski ludzi i życie, ażeby później ze spostrzeżeń swych układać dzieje i psy-

[1], [2]) Te wyrazy autor listu podkreślił.

chologję swoich bohaterów, jak nie umniejszając dziedzin poezji, przy pełnej swobodzie artystycznej i nastrojowej, zwykł był pojmować temat bardzo ściśle pod względem rzeczowym.

Tak jak dla Wyspiańskiego punktem wyjścia do napisania tragedji „Sędziowie“ stała się notatka dziennikarska „Z sali sądowej“ — podobnie bezpośrednim bodźcem do powzięcia pomysłu noweli „Złe Spojrzenie“ był rzeczywisty, głośny w swoim czasie, wypadek w Tatrach; wydarzenie, o którem w kronice wypraw Tatrzańskiego Pogotowia Ratunkowego, pod datą 1919 roku, znajdujemy wiadomość: „Tadeusz Kuhn z Zakopanego, uczeń gimnazjalny, Polak, lat 16, przechodząc granią z Zawratowej Turni ku Mylnej Przełęczy, spadł wskutek oberwania się głazu około 120 m. i poniósł śmierć na miejscu“ [1]).

Tragiczna i prosta wymowa tego zdarzenia wywiera tem boleśniejsze wrażenie, że zabity w górach był jedynakiem, synem ślepca, który przyprowadzony do martwych zwłok, wodząc palcami, rozpoznawał stężałe rysy twarzy synowskiej.

Podziwiać należy mistrzowstwo, z jakiem dla celów artystycznych zostały w noweli wyzyskane szczegóły tego tragicznego wypadku, znanego dobrze Żeromskiemu, którego ówczesne mieszkanie w Zakopanem, przy ulicy Krupówki, znajdowało się w blizkiem sąsiedztwie domu zmarłego, w takiem niemal położeniu, jak przedstawione w utworze dwa domy: willa lekarza, bohatera noweli i domek zamieszkany przez rodzinę Antosia. Opis przyczyny katastrofy, szczegóły niektóre, jak o ubóstwie rodziny zmarłego, — do nich możnaby dodać, że na utrzymanie jej zarabiała matka ze sprzedaży swych haftów, — są odtworzorzone przez Żeromskiego w sposób, dokładnie odpowiadający rzeczywistości.

Genezy psycholologicznej utworu szukać należy w nastroju, w jakim znajdował się podówczas Żeromski. Historja nieszczęśliwego wypadku w górach posłużyłała mu do dania wyrazu swoim bezpośrednio doznanym przeżyciom wewnętrznym, własnemu cierpieniu po utracie młodo na gruźlicę płuc zmarłego jedynaka, Adama, do wypowiedzenia swej gniotącej rozpaczy, którą próbował koić w innym jeszcze o życiu syna traktującym pamiętnikarskim utworze p. t. *O synu moim Adamie Żeromskim*, drukowanym w niewielkiej liczbie egzemplarzy i niedostępnym w obiegu księgarskim, ażeby się nie skalały handlem uczucia boleści ojcowskiej.

Bohatera noweli, doktora Zenona, najbardziej wziętego lekarza „środkowo-galicyjskiej Abdery“ — tak zostało nazwane Zakopane — obdarzył Żeromski własną liryką. Ukrył się zaś pod tą, obdarzoną materjalistycznym poglądem i ustosunkowaniem do świata, postacią, nie nową w jego twórczości, a przypominającą typowych inżynierów i lekarzy z epoki pozytywizmu, dla tem drastyczniejszego przedstawienia obrazu „mocowania się ze swoją klęską, jak na mężczyzną i świadomego lekarza przystało“. Wyrachowany rozum nie święci jednak w tym utworze triumfu.

W opisie poszczególnych—na sobie samym obserwowanych — stanów psychicznych zmagania się z rozpaczą po śmierci syna zstąpił Żeromski w najgłębsze podświadome mroki i tajnie duszy ludzkiej, poddając je przenikliwej analizie. Przetopienie artystyczne własnych uczuć bolesnych w przejrzyste formy poetyckie, kosztowało go zapewne wiele...—Silną musiała być ręka, która, pragnąc wyrzeźbić pomnik nagrobny, ani na cal nie zboczyła, pracując dłutem, kiedy serce dotknięte klęską, mocno bijąc, osłabiło trafność roboty.

Ustępy te, będące przedstawieniem poszukiwania istoty zjawisk, ich ukrytej treści, głęboko utajonego sensu działań, myśli i czynów, a zakończone zetknięciem się z przyrodą najwyższym akordem błagania o przeniknięcie tajemnicy śmierci i życia, ujęcie ich wzajemnego związku, stają się wreszcie spowiedzią, na dnie własnej duszy doszukującą się podłości i rozszarpującą bezlitośnie własne rany, aby nie zabliźniły się w spodleniu. Zrozpaczony po śmierci syna doktór Zenon kieruje zawistne, niesamowite spojrzenie na jedynego syna swych sąsiadów, najlepszego opiekuna ociemniałego ojca i pomocnika ciężko pracującej matki. — Odsłania się cała przerażająca, okrutna nagość życia, przeciwko której—szukając jej—podejmował Żeromski walkę.

Rychło zazdrosne owo spojrzenie, które przemierzyło już wszystkie obszary cierpień, owiewając nas grozą jakiejś prastarej, a prostaczej wiary, otwierające głęboką dawność wierzeń ludowych w uroki i odczyniania, sprowadza w skutkach... śmierć w górach młodzieńca, szerzącego wokół siebie radość i urodę życia.

Zamyka utwór nie dająca się wysłowić w streszczeniu scena: na dnie rozkoszy, płynącej z nasycenia żądzy zazdrości nieszczęściem, sprowadzonem niejako siłą złego spojrzenia—ostatecznie znajduje doktór Zenon jeno straszliwą gorycz.

Mistrzowski styl utworu, każde poruszenie duszy zamykający w potężne, przedziwne w tonacji wewnętrznej słowa, — ton przeskakujący od rozpaczy i od brutalnej rzeczywistości, od realizmu psychologicznego w ujęciu tajemniczych prawd życiowych, do niezgłębionej mistyki,—zawiera całą moc genjuszu Żeromskiego.

Ta nowela jest prawdziwą tragedją; oddziaływa jej pierwiastkami: tragizmem obrotu rzeczy naturalnych i nadprzyrodzonych. Do najostrzejszego napięcia strun tragizmu doprowadza przedstawienie dramatu wczesnej śmierci; w oddaniu zaś nieodpartej rozpaczy ojca, osamotnionego po utracie syna młodzieńca, napięcie uczucia i demoniczna siła wyrazu—jak już zrobiono porównanie—dosięga i przechodzi granice, za których przekroczenie w dawnej Grecji domagano się kary dla autora tragedji.

Obok „Trenów“ Kochanowskiego, „Ojca Zadżumionych“ Słowackiego — należy stawić Stefana Żeromskiego nowelę-epicedjum „Złe spojrzenie“.

JAN DÜRR

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

W Hadze zmarł przed kilkunastu dniami W. G. Bywanck znakomity filolog i krytyk literacki, niepospolity znawca literatury europejskiej, zwłaszcza francuskiej i angielskiej. Był to nietylko wielkiej miary uczony, lecz i człowiek żywej myśli i wrażliwej duszy, o którym doskonale się wyraził Anatol France, że „obcowanie z książkami nie oderwało go od badania ludzi, a chociaż jest filologiem, interesuje go ruch idei“, (p. przedmowę do książki Byvancka „*Un Hollandais à Paris en 1891*“). Że tak było w istocie świadczyć o tem może piękne dzieło zmarłego p. t. „Poezja i życie w XIX stuleciu“, a choćby wspomniana praca, pisana po francusku „*Un Hollandais à Paris*“, w ktorej autor oprowadza nas po rozmaitych przybytkach sztuki i literatury francuskiej ostatniego dziesiątka ubiegłego wieku. Mało jest książek obcych autorów, któreby z taką znajomością przedmiotu i takim wdziękiem mówiły o sztuce Verlaine'a i Moréas'a, Barrés'a i J. Renard'a, Rodin'a i Carriére'a i t. p., jak ta książka holenderskiego erudyty.

Powiadał on o sobie, iż jest „umysłem północnym aspirującym do latynizmu“ — i to było prawdą, gdyż kojarzyły się w nim harmonijnie ścisłość ze swobodą myśli, sumienność uczonego z prostotą i wytwornością smaku. Zmarły Byvanck w 77 roku życia, na stanowisku bibljotekarza królewskiej bibljoteki w Hadze.

*

W zbiorze „*Les Contemparains*“ („Współcześni“) wyszła książka poświęcona działalności Ch. Maurras'a, jako pisarza, poety, polityka, dziennikarza, etc... („*Charl'es Maurras, études et articles sur l'ecrivain, le poète, le politique, le journaliste, etc.*). Na książkę tę złożyły się prace J. Bainville'a, H. Massis'a, F. Marade'a, X. de Magallon'a, H. Rambaud'a i t. p.

*

Akademja Goncourt'ów przyznała w tym roku swoją nagrodę Maurycemu Genevoix. autorowi powieści „*Raboliot*“.

---

[1]) Por. Marjusz Zaruski „Tatrzańskie Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe“... Warszawa 1922, str. 105.

U SŁOWIAN

Historyk serbski Ž. Živanović dokończył ostatnio swego wielkiego czterotomowego dzieła p.t. *„Politicka istorija Srbije w drugoj polovini devetnaestoga veka"* (Polit. dzieje Serbji w drugiej poł. XIX stulecia). Obszerne to dzieło (przeszło 1600 stronic) obejmuje lata 1858—1903 t. j. od abdykacji Aleksandra Karadjordjevića, a więc czasy panowania Obrenovićów: Miłosza (1858—1860), Michała (1860—1868), Milana (1872—1889) i zamordowanego Aleksandra (1893—1903). Na podstawie długoletnich badań źródeł historycznych umiał Živanović dać żywy obraz walk wewnętrznych w małem wówczas jeszcze państewku, zwłaszcza ciekawe są rozdziały, odnoszące się do walk z Turcją w r. 1867 i 1876, gwałtownej śmierci Mihajla Obrenovića oraz do ogólnego zamieszania za rządów króla Milana.

*

Vvod do Studia luzickosrbskeho pisemnictvi. („Wprowadzenie do studjum literatury łużyckoserbskiej") nosi tytuł nowa praca d-ra J. Páty, docenta uniw. praskiego. Jedyne to w swoim zakresie dzieło, mimo niewielkiej objętości (148 stron), daje dokładny a przejrzysty obraz piśmiennictwa małego narodu Serbów łużyckich. Godne zwłaszcza uwagi są dwa pierwsze rozdziały, zawierające dzieje Łużyczan oraz rozdział VI—X i zawierające przegląd współczesnego piśmiennictwa. Autor podkreśla, że narodowe odrodzenie Serbowie łużyccy zawdzięczają prądom oświecenia XVIII w. Piękna praca d-ra Páty zasługuje na rychły przekład na język polski, gdyż w naszej literaturze żadnej tego rodzaju pracy nie posiadamy.

*

Pierwszy zeszyt czwartega rocznika praskiego czasopisma *„Slavia"*, zawiera następujące prace: Melodja akcentowanych samogłosek w języku czeskim (przez J. Chlumsky'ego). Mowa rosyjskich mieszkańców obszarów zawołżańskich (przez A. Seliszczewa). Kompozycja Słowa o pułku Igora (W. Rziga). Studjum o Puszkinie (przez W. Waldenberga) i o Lermontowie (przez E. Aniczkowa) oraz szereg drobniejszych notatek, m. in. ciekawy artykuł V. Buriana: Materjały do dziejów filologji słowiańskiej. Pierwszy artykuł napisany jest po francusku, przeważna część następnych po rosyjsku.

*

„Nova Evropa", chorwackie czasopismo polityczne, wychodzące w Zagrzebiu trzy razy w miesiącu, wydała ostatnio dwa nader zajmujące numery. Numer z dn. 21 listopada poświecony jest specjalnie sprawom rosyjskim i zawiera następujące artykuły: Wielcy ludzie — Piotr Wielki (szkic historyczny) — Piotr Wielki i Jugosłowianie — Niegosz (ks. czarnogórski) i Rosja — Lew Tołstoj, jako dramaturg. — Numer z dn. 11 grudnia poświęcony jest Polsce: Stefan Żeromski (nekrolog przez d-ra I. Esiha)—Przegląd piśmiennictwa polskiego (L. Płoszewski) — Rozwój teatru w Polsce (W. Brumer)— XII międzynar. kongres rolniczy w Warszawie; ponadto dr. I. Esih zamieszcza szereg ciekawych informacyj o naszym ruchu wydawniczym. Karta tytułowa ozdobiona jest cytatami z dzieł Mickiewicza, Asnyka i Żeromskiego.

*

„Le Monde Slave", (rok II № 9), zawiera szereg interesujących studjów: Geneza zamachu w Sarajewie (R. W. Seton-Watson) — Wilno i cywilizacja polska (Leon Wasilewski) — Kraje słowiańskie i wystawa sztuk dekor. (Louis Réau) — Dwa memoranda Riegera (K. Kazbunda, rzecz z r. 1870) — Urodziny republiki austrjackiej (K. Brockhausen) — Pierwsze ministerjum serbsko-chorwackie (Yves Chataigneau), w dziale przeglądu czasopism, obszerną recenzję z czerwcowego numeru „Przeglądu Politycznego", mianowicie z artykułu W. Pomiana p. t. „Polska i Litwa" oraz niezmiernie ciekawe uwagi o pamiętnikach Stambołowa.

*

„Makedonsko saznanie", tygodnik bułgarski wychodzący już drugi rok w Wiedniu, jako organ „Federacyjnej Organizacji Macedońskiej", prowadzi żywą propagandę za zjednoczeniem wszystkich słowian południowych w państwo związkowe, w którego skład weszłyby: dzisiejsza Jugosławja i Bułgarja oraz będąca dziś pod panowaniem Grecji Macedonja. W 15-ym numerze zamieszczona jest rezolucja wiecu ogólnomacedońskiego z początku listopoda, domagająca się właśnie utworzenia federacji bałkańskiej.

*

Nowy miesięcznik młodzieży akademickiej we Lwowie „Myśl Akademicka" pod red. Jerzego Zarzyckiego poświęca baczną uwagę sprawom s ł o w i a ń s k i m; Nr. 1 (z dn. 1 grudnia) zawiera w tej dziedzinie nast. artykuły: Liryka chorwacko-serbska (Franjo Cinek), Polsko-jugosłowianskie stosunki kulturalne (J. Doroszówna) i Idea, słowiańska w Polsce (H. Batowski); pozatem z utworów młodych autorek i autorów godne uwagi są niektóre prace: J Królińskiej, M. Sterbówny (oryginalny i pełen uroku wiersz „Myśl") oraz J. Zarzyckiego.

TEATR

PARYŻ W WARSZAWIE

TEATR Mały wystawił komedję S. Guitry'ego „Mój ojciec miał słuszność". Należy ona do tej dziedziny artyzmu, która sztuce wyrobiła opinję, że pochodzi z rozrywki.

Oparta na umowie (konwencji) między autorem i słuchaczem, że to i owo będą uważali za prawdziwe. Nigdy chyba teatr nie lekceważył tak człowieka, jako tematu, jak teraz. W komedji Guitry'ego trzydziestoletni człowiek rozmawia z siedmdziesięcioletnim ojcem przez cały akt w ten sposób, jakby się pierwszy raz widzieli i nic o sobie nie wiedzieli.

Pospólstwo chodzi w Paryżu do teatru, aby się rozkoszować widokiem bogatego mieszczaństwa, uczyć się użycia, wesołości, cynizmu. Pisarze są na usługach i eksploatują nieprzebrane kopalnie przyczynków do zoologji mieszczucha, coraz mniej przebierając w miale. Guitry przynajmniej nie dodaje kału, ale naogół podziw zbiera, że tym materjałem można stale opalać zziębniętą duszę pospólstwa i w dodatku tyle go wywieźć za granicę... My w Warszawie też lubimy popatrzeć przynajmniej, jak to używają sybaryci. Przypomina się wychowawcza praktyka z naszych czasów świątecznych: rodzice cieszyli dziatwę, pokazując jej zabawki przez szyby sklepów. Tyle ich użycia, ale jak się czasy poprawią...

Prawo literackie zyskała ta komedja w Polsce przez to samo, że ją spolszczył świetny pisarz, Włodzimierz Perzyński. Publiczność niezawsze zdaje sobie sprawę z tego, ile w powabie sztuki przypada na zasługę tłumacza. Wydaje mi się jednak, że w jednem miejscu przejaskrawił pogardę autora w stosunku do kobiet, gdy użył wyrazu „bydlątko". Czy nie należałoby to poprawić na „stworzonko"? W polskim uchu lepiejby to brzmiało.

Obsada sceny była dobra. Nowością była słynna niegdyś artystka p. Natalja Siennicka, która wróciła na scenę.

Z. W.

JUBILEUSZ „ZORZY"

Zeszyt noworoczny tygodnika ludowego „Z o r z a" wyszedł w zwiększonej objętości z powodu jubileuszu wydawnictwa. „Zorza" ma już za sobą 60 lat istnienia (1866—1926). Poseł Karol Wierczak dał w tym zeszycie historyczny przegląd tego okresu, obejmującego początki pracy kulturalnej, dokonywanej w Polsce dla dobra ludu. Kto się nad tą pracą zastanowi, zrozumie, jak mało było czasu na przygotowanie ludu polskiego do roli, którą w Polsce wolnej ma spełniać, ale też zrozumie i to, jaką zasługą legitymują się w pamięci potomnych pracownicy, którzy „Zorzę" nad Polską niecili: J. K. Gregorowicz, K. Prószyński (Promyk), J. Grajnert, a później Mieczysław Brzeziński (od r. 1891) i jak wielką zasługę mają i obecni jej kierownicy, którzy zapewnili życiu „Zorzy" nieprzerwaną ciągłość i przystosowali ją do warunków nowych. Od r. 1914 „Zorza" pozostaje w rękach posła Jana Załuski, który od ławy szkolnej był działaczem oświatowym. Obecnie opiekuje się nią wespół z posłem K. Wierczakiem, J. Staryszakiem i St. Sikorskim. Wśród wielu artykułów politycznych i gospodarczych znalazł się w zeszycie jubileuszowym artykuł literacki z ilustracjami o Janie Kasprowiczu z Szymborza, napisany przez Z. Wasilewskiego.

PARK PRZYRODY

Odbyła się w Krakowie konferencja ekspertów, zwołana z inicjatywy polskiej Akademji Umiejętności i czechosłowackiej Akademji Nauk w sprawie utworzenia w T a t r a c h na pograniczu polsko-czechosłowackiem p a r k u p r z y r o d y. W konferencji wzięli udział ze strony polskiej: prof. Walery Goetel, prof. M. Siedlecki, prof. Stan. Sokołowski, prof. Wład. Szafer; ze strony czechosłowackiej prof. geografji Jiri Janda, konserwator min. oświaty R. Kettner, prof. geografji. Wynikiem konferencji było wypracowanie szczegółowej ekspertyzy naukowej, która przewiduje utworzenie parku przyrody w granicach pełnej suwerenności każdego z państw, z tem, że zasady parku będą po obu stronach jednakowe ze względów naukowych i praktycznych. Organizacja parku nie będzie oparta na wzorach obcych, ale dostosowana do warunków lokalnych. Przebieg konferencji ujawnił całkowitą zgodność poglądów ekspertów obu stron.

NA MARGINESIE

Tygodnik „Głos Prawdy" Organ Radykalizmu Polskiego temi słowy zwalcza projekt reformy szkolnej min. Stanisława Grabskiego: „W ciągu ostatniego roku Minister Ośw. p. Stanisław Grabski, opracował wprawdzie ramowy projekt reformy szkolnictwa, ale... wątpić należy, czy doczeka się on realizacji. Zresztą gruntowna a nagła reorganizacja całego szkolnictwa—instytucji z samego charakteru swego nawskroś konserwatywnej—może spowodować tylko chaos".

Ha, trudno, jak kto stanie się przysięgłym radykałem, to nie może już zdobyć się na umiarkowanie nawet — w konserwatyzmie.

*

P. Wasserzug, pisząc w „Kurjerze Polskim" o wydanym przez p. Sokolnickiego zbiorze urywków p. t. „Polska w pamiętnikach wielkiej wojny 1914 — 1918", takie oto snuje przy tej sposobności refleksje: „Wszystko, literalnie wszystko, stało się inaczej, niż przewidywali najbystrzejsi. Możnaby napisać wielotomowe dzieło p. t. „Wojna, jako dzieje omyłek"...

Przyjemna to rzecz, gdy kto może zaliczyć się do ludzi „najbystrzejszych". Boć istotnie w wojnie światowej „wszystko, literalnie wszystko, stało się inaczej", niż przewidywał filar Klubu Państwowców p. Wasserzug i jego koledzy z „Kurjera Polskiego"...

*

W Teatrze Polskim w Warszawie przed ostatnią premjerą „Otella" wystawiono kolejno dziesięć sztuk następujących: „Okręt sprawiedliwych" Jewreinowa, „Świętoszek" Moljera, „Nowi panowie" de Flersa i Croisset'a, „Wielka księżna i chłopiec hotelowy" Savoir'a, „Fotel 47" Verneuil'a, „Panienka bez znaczenia" Hennequin'a i Coolus'a, „Proboszcz wśród bogaczy" Vautel'a, „Żywa maska" Pirandella, „Madame Sans-Gêne" Sardou i „Lojalność" Galsworthy'ego.

Czy nie byłoby w tych warunkach właściwe zmienić nazwę dotychczasową przedsiębiorstwa na — „Teatr Zagraniczny"?

*

Od czasu nominacji p. Artura Śliwińskiego na dyrektora teatrów miejskich, dziwnie uporczywie krążą w Warszawie pogłoski na temat osobliwych szczegółów architektury Teatru Wielkiego. Mówią mianowicie, że do gabinetu dyrektora teatrów miejskich najwygodniej i najłatwiej dostać się można przez... loże...

KRONIKA OGÓLNA

SPRAWY WEWNĘTRZNE

W Katowicach odbył się uroczysty ingres nowomianowanego biskupa śląskiego ks. dr. A. Hlonda.

Rozpoczęła prace t. zw. komisja trzech dla reorganizacji administracji. W skład komisji wchodzą: prof M. Bobrzyński, sen. St. Kasznica i sen. S. Smulski.

SPRAWY ZAGRANICZNE

Rumuński następca tronu ks. Karol zrzekł się przysługujących mu praw na rzecz swego czteroletniego syna ks. Michała.

Rząd bułgarski podał się do dymisji. Na czele nowego gabinetu stanął pos. Liapczew.

Niezwykłą sensację wywołało wykrycie fałszerstwa banknotów na Węgrzech oraz aresztowanie głównego winowajcy ks. Windischgraetza, oraz wspólnika jego, szefa służby bezpieczeństwa Nodosy'ego.

KRONIKA ŻAŁOBNA

Zmarł w Kucewiczach w pow. oszmiańskim ś. p. Antoni Szwabowicz b. poseł na sejm wileński i członek delegacji tegoż sejmu do Warszawy, który stanowiskiem swem zdecydował w swoim czasie usunięcie wszelkich zastrzeżeń autonomicznych z formuły zjednoczenia ziemi wileńskiej z Rzecząpospolitą.

OD WYDAWNICTWA

Wobec tego, że urzędy pocztowe zbierają już same prenumeretę, może się łatwo zdarzyć, że dawny prenumerator odbierać będzie dwa egzemplarze pisma. Dawnym bowiem odbiorcom, nie wiedząc, jak postąpią, a nie chcąc ich narażać na przerwę, posyłamy pismo wprost pod opaską, gdy poczta, która nam nazwisk swoich odbiorców nie komunikuje, dostarczać będzie egzemplarz wtóry. Prosimy tedy czytelników o uprzejme powiadomienie nas o takim wypadku, abyśmy nakładu nie marnowali.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2-ie piętro. Tel. 11-90.

WARUNKI PRZEDPŁATY: kwartalnie z dostawą zł. 8, rocznie zł. 30, za granicą kwart. zł. 12. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI

Druk. „A. Michalski“, sp. z o. o., Warszawa, Chmielna 27. Telefon 27-15.